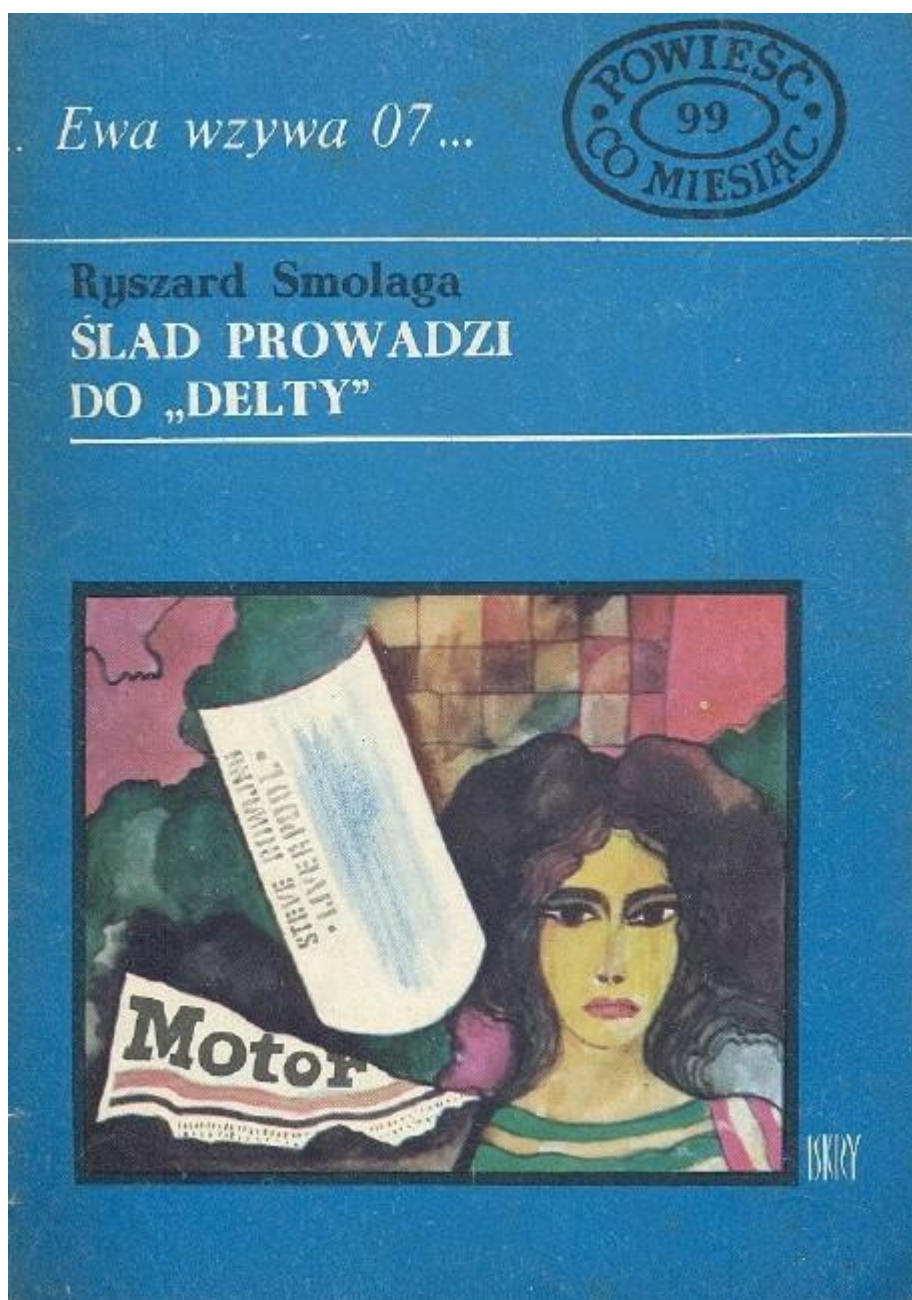


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Ryszard Smolaga Ślad prowadzi do „Delty”



Dla mieszkańców pensjonatu „Mariola” położonego w Krajewie Morskim kończył się jeszcze jeden letni dzień. Określenie „pensjonat” nie było może najodpowiedniejsze dla starej, zbudowanej przed wojną i mocno już sfatygowanej willi z nadpróchniałego drzewa, ale jej obecny właściciel, Leon Wiewiórski, nie zaniedbywał używania go przy każdej okazji. Czynił to ze szczególnym naciskiem podczas pertraktacji o wynajem pokoi, które może nie wyróżniały się czystością i luksusowym wyposażeniem, ale za to mogły poszczycić się mnóstwem łóżek, bowiem cena pokoju kalkulowana była ..od łóżka”. Jednak mimo końca sierpnia i schyłku sezonu nic wszyscy urlopowicze opuścili „Mariolę”. Pozostał jeszcze w swym wynajętym na cały sierpień pokoju Koman Borowicz, będący chlubi) pensjonatu i wabikiem dla innych, chętnych do mieszkania pod wspólnym dachem w towarzystwie tak wybitnej osobistości. Roman Borowicz, był bowiem nie tylko filarem sceny Teatru Popularnego w Warszawie, lecz także gwiazda, wielkiego blasku na firmamencie polskiego filmu i telewizji. Liczba okładek tygodników, ozdobionych podobizną Borowicza, była tak duża, że wielu popularnych wśród publiczności kolegów mogłoby mu szczerze zazdrościć rozgłosu.

Borowicz cenił swoją pozycję, jaką cieszył się zawsze wśród szerokich mas wielbicieli i dlatego dbał o to, by ukłony i uśmiechy, których nic szczędził nikomu, były uprzejme i pełne życzliwości. Chętnie rozwieselał słuchaczy anegdotami z życia teatralnego, nie stronił też od nieco sztubackich niekiedy kawałów, aby zyskiwać sobie w ten sposób coraz szersze kręgi sympatyków. Nie znaczy to jednak, by w delikatny i subtelny sposób nic dawał odczuć otoczeniu swej odrębności, jakby charyzmatu, jakim naznaczył go los, wynosząc tak wysoko w hierarchii ludzi sztuki. „Także i teraz, kiedy towarzystwo po kolacji zamierzało udać się na spacer po molo, Borowicz przeprosił wszystkich grzecznie, że musi wybrać się samotnic na wydmy, żeby przemyśleć nową rolę, jaką oferują mu w filmie.

— Jest za wielki, żeby pospolitować się ze zwykłymi ludźmi — powiedział Szostak, gdy mieszkańcy „Marioli” znaleźli się już na zwirowej ścieżce, prowadzącej do mola.

— A pan jest złośliwy i zazdrosny — orzekła pani Zofia Strzałecka przybyła (u ze stolicy na odpoczynek po trudach, jakie w naszych czasach przypadają w udziale prywatnemu rzemiosłu. Pani Zofia miała w pawilonach sklep z kapeluszami, była modystką, ale chętniej przyznawała się do działalności artystycznej, ponieważ przed wielu laty śpiewała podobno- przez jeden sezon w turze objazdowej, organizowanej przez „Estradę”. Jej zarzut zazdrości, przypisany Szostakowi w stosunku do Borowicza był tym bardziej bolesny, że wydawał się- niedaleki lub może nawet bardzo bliski prawdy. Józef Szostak był kolegą Borowicza z tego samego teatru. Tak jak. Borowicz dobiegał już pięćdziesiątki, ale kariera obu aktorów różniła się od siebie jaskrawo. Startowali na scenie w tym samym czasie, zyskując sobie rozgłos i przychylną uwagę krytyki, podczas gdy jednak Borowicz piął się w górę nieprzerwanie przez lata, to błyskotliwa kariera Szostaka zgasła po kilku rolach, jakie otrzymał w teatrze. Na deskach sceny pozostał, ale grywał role podrzędne, tak znane ogony, a o większej roli w filmie czy telewizji nie mógł nawet marzyć.

Szostak nic nie odpowiedział na uwagę Strzałeckiej. Wyreńczył go natomiast Kosmala, inżynier, który przyjechał do Krajewa Morskiego z jakiejś małej miejscowości, mogącej poszczycić się jedynie sporym przemysłowym zakładem, zatrudniającym Kosmate w charakterze naczelnego inżyniera.

— Niech sobie zadziera nosa, nic mnie to nie obchodzi — tłumaczył z irytacją w głosie. — Nie tylko głupich kawałów i prób bawienia się cudzym kosztem. Dzisiaj porządnie mu wygarnąłem rano na plaży!

Ostatnie słowa, wypowiedział niemal dyszkantem, co oznaczało u niego stan dużego zdenerwowania, zresztą wszyscy lokatorzy „Marioli” podczas całego pobytu Kosmali nad morzem utwierdzali się coraz, silniej w przekonaniu, że poza jego przyrodzonym ponurawym i cholerycznym charakterem jest jeszcze jakaś sprawa, która gnębi go, wzmagając i tak wysoką pobudliwość usposobienia, łatwo popadał w złość, a wtedy stawał się ofiarą Borowicza, który z upodobaniem jeszcze bardziej go rozdrażniał.

Gdy już znaleźli się na moło, wtrącił się ostatni z pozostałych jeszcze w „Marioli” lokatorów, literat Wiktor Sarnecki.

— Nie bardzo mi się podoba ten Borowicz. W gruncie rzeczy to Średni talent, który znalazł sobie cmokierów w gronie krytyków. Taki z etykietką geniusza, gdy raz go zaszufladkują jako wybitny talent, to może grać, co chce i jak chce. Nikt nic ośmieli się powiedzieć prawdy, a w szczególności napisać wyraźnie, że król jest nagi. Taki to świątek, ci żurnaliści, a już do krytyków stosuje się mój sad najbardziej! Naszkicuję Borowicza w mojej nowej powieści w całej okazałości.

Szostak odchrząknął, jakby na znak, że (cmał można uznać za wyczerpany. Może przytakiwałby Żarncekiemu, ale zbyt jaskrawo rysował się fakt, że możliwości pisarskie pana Wiktora są mocno ograniczone i jeśli nie liczyć opowiadań, zamieszczanych od czasu do czasu w pewnym tolerancyjnym dla słowa drukowanego tygodniku, o Sarnecki niczym się w literaturze nie odznaczył. W tym, co mówił o Borowiczu, czuło się gorycz człowieka zawiedzionego, któremu nie udało się wybić ponad przeciętność.

— Cudowny jest ten zapach morza - zauważył Szostak. — Noc gwiazdzista oznacza na jutro murowaną pogodę!

Rzeczywiście, nie było jeszcze ósmej, jednak zrobiło się już ciemno.

— Wracajmy, a jeśli państwo sobie nie życzą, wracam sam — oświadczył Kosmala.

Ale na powrót do pensjonatu mieli już ochotę wszyscy. Wkrótce zaszeleścił pod ich stopami żwir na ścieżce. Kiedy zbliżyli się do willi, zobaczyli pod drzewem sylwetkę Leona Wiewiórskiego, który stał samotnie, jakby na coś czekając. Ujrzał zbliżających się i cofnął się za drzewa.

Czwórka mieszkańców willi zniknęła w jej drzwiach. Żarnecki ruszył! w kierunku jadalni, gdzie stał telewizor. Włączył! go. Trwał „Wieczór z dziennikiem”. Pozostali rozeszli się po pokojach, ktoś poszedł do łazienki.

W tym momencie od strony wydm oderwała się ciemna postać. Był to Borowicz, który wolnym krokiem zbliżał się do budynku „Marioli”.

Borowicz cieszył się w gruncie rzeczy, że jego pobyt tutaj miał się ku końcowi. W „Marioli” mieszkał jeszcze za czasów studenckich i teraz przez sentyment odwiedzał prawie co roku Krajewo Morskie, uważając je jednak w głębi duszy za nieciekawą dziurę, niegodną zainteresowania człowieka, który już niejedną perłę turystyki widział na świecie. Zbliżając się do pensjonatu, zastanawiał się, czy zastanie na swym posterunku w pokoju służbowym pannę Wandę Sosińską, pokojówkę, a zarazem osobę pełniącą funkcję portierki. Jej zadaniem, między innymi, było baczenie przez specjalne okienko w drzwiach służbówki na osoby wchodzące przez drzwi do hallu, skąd prowadziła droga na werandę, do jadalni, pokoi parterowych i na schody. Borowicz uśmiechnął się do swoich myśli. Zatrzymał się w ciemnym obecnie hallu kilka metrów od służbówki, skąd sączyło się Światło nocnej lampki.

— Pani Wando! - zawołał. — Droga pani Wandeczko!

I w tym momencie otrzymał w tył głowy straszliwy cios, po którym ogarnęła go ciemność.

II

— Znalazłam go o szóstej rano idąc do służbówki po klucze od magazynu zeznawała Wanda Sosińska. — Leżał tutaj na werandzie, ale przez otwarte drzwi z hallu widać było jego nogi. Zajrzałam tam i zobaczyłam go wtedy całego... Taki wspaniały człowiek... Sympatyczny, wesoły — zamilkła ocierając łzę.. — Potem pan Wiewiórski kazał zatelefonować po pogotowie i milicję.

Porucznik Zbigniew Kaczorowski z Wydziału Zabójstw Komendy Miejskiej MO w Kołobrzegu kończył zapisywanie kolejnej strony notatek. Miał już wstępne orzeczenie lekarza pogotowia, który stwierdził, że śmierć Borowicza nastąpiła przypuszczalnie pomiędzy godziną dwudziestą a dwudziestą pierwszą ubiegłego dnia i spowodowana została uszkodzeniem mózgu od uderzenia ciężkim, twardym przedmiotem w kształcie prętu, grubości około 3 cm. Żadnych śladów walki nic znaleziono: uderzenie nastąpić musiało niespodziewanie i denat potem już przytomności nie odzyskał. Na werandę wciągnięty został prawdopodobnie zaraz po otrzymaniu ciosu; świadczyły o tym ślady krwi. Z pięciu dużych, oszklonych okien werandy jedno znaleziono otwarte. Tym właśnie oknem mógł zabójca dostać się do wnętrza domu, przez nie mógł także opuścić miejsce przestępstwa, jednak znalezienie śladów stóp pod oknem uniemożliwiła betonowa nawierzchnia prowadzącej koło werandy ścieżki. Drzwi werandy były zamknięte i robiły wrażenie od dawna nie używanych.

W pokoju Borowicza paliło się światło. Zarówno zaścielone i przykryte narzutą łóżko, jak też ogólny wygląd pokoju wskazywał na fakt, że jego właściciel nie był w nim po powrocie z wieczornego spaceru.

Pani Zofia Strzałeczka wydawała się całkowicie wytrącona z równowagi tragicznym wypadkiem.

— Proszę zapisać artystka, śpiewaczka — dyktowała porucznikowi, który notował jej dane personalne — chociaż aktualnie utrzymuję się z prowadzenia sklepu kapeluszniczego przy Marszałkowskiej. Pawilon nr 122 B. Cóż za dramat ponury, panie poruczniku! Wyrzucam sobie, że gdybym wywarła większy nacisk na pana Borowicza, może zdecydowałby się na wspólny spacer z nami na molo i mogłoby nie dojść wtedy wcale do tej okrutnej zbrodni!

— Teraz jednak musimy zajmować się wyłącznie faktami — podsunął porucznik. — Czy zauważyła pani w ciągu ostatnich dni coś, co wiązałoby się z osobą Romana Borowicza i mogłoby mieć istotne znaczenie w tej sprawie?

— Trudno mi jest określić, co jest ważne — powiedziała po namyśle Strzałeczka — ale tego dnia po południu pan Borowicz przechodził przez ogród z panem Kosmala... Mnie nie widzieli, bo leżałam na leżaku zasłonięta zaroślami. Pan Borowicz opowiadał coś panu Kosmali podniesionym głosem i w pewnym momencie usłyszałam wyraźnie zdanie: „Niech pan będzie pewny, że ode mnie niczego się nie dowiedzą...”

— Ciekawe — przyznał porucznik.

— I jeszcze jedno, może najważniejsze wydarzenie. Tegoż, dnia niedługo po obiedzie usłyszałam, jak ktoś krzyczał z pokoju Borowicza podniesionym głosem: „Tak nic wolno postępować! Nie będę tego tolerował!”

— Kto to krzyczał?

— Jakiś zupełnie obcy głos. Wyszliśmy właśnie przed dom z panem Żarneckim. Ale zaraz polem wszystko ucichło. Byliśmy zaintrygowani tym wydarzeniem i potem pytaliśmy nawet wszystkich, czy ktoś widział tajemniczego gościa pana Borowicza. Ale nic widział go niestety nikt.

Wezwany przez porucznika na werandę Żarnecki potwierdził zeznania Strzaleckiej. Słyszał również te dwa zdania. Krzyczał jakiś nieznany głos.

Strzalecka stwierdziła także, że od czasu spaceru na moło nigdzie nie wychodziła z pokoju, nikogo nie widziała, nic też nie słyszała. Dopiero rano obudził ją przyjazd pogotowia.

— Może jeszcze tylko dodam — powiedziała na zakończenie — że gdy wracaliśmy z moła, zobaczyłam w półmroku pana Wiewiórskiego, jakby ukrytego za drzewami, stojącego bez ruchu. Potem cofnął się głębiej w cień, kiedy nas zobaczył. Spozrzegł go także i rozpoznał pan Szostak.

Szostak spytany o ten szczegół przytaknął. Jemu również zachowanie Wiewiórskiego wydało się dziwne. Zresztą może teraz tak to wygląda, gdy wiadomo, co się wydarzyło.

Do stojącego na werandzie trzciniowego stołu, przy którym robił notatki porucznik Kaczorowski, podeszła Wanda Sosińska. Strzalecka i Szostak opuścili werandę zamykając za sobą drzwi.

— Chciałabym coś dodać — powiedziała. — Może to ważne, tego wieczora, już o zmroku, widziałam koło „Marioli” jakiegoś obcego człowieka. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, a wzrok mam dobry, więc zauważyłam, że był średniego wzrostu, bardzo krepny, twarz nic miała w sobie nic szczególnego, wyglądał na około pięćdziesiąt lat.

— Co jeszcze sobie pani przypomina? — spytał porucznik. — Co robił ten człowiek w pobliżu pensjonatu?

— Przez ten moment, kiedy mu się przyglądałam, po prostu stał zwrócony w stronę domu. — Potem — nie wiem. Aha, miał na oczach okulary.

— Poznałaby go pani? — Chyba tak ...

Wszyscy goście zgromadzeni byli w hallu. Strzalecka i Szostak siedzieli na trzciniowych fotelach, stojących obok wejścia na werandę, Kosmała, ponuro zapatrzony przed siebie, tkwił w krześle w rogu hallu, Żarnecki, nerwowo zacierając dłonie, stał oparty o futrynę drzwi prowadzących do służbówki. Poza relacją o tajemniczej wizycie u Borowicza i rozmowie tegoż z Kosmała nikt nie wniósł nic istotnego. Według Żarneckiego oglądał on tylko kilkanaście minut „Wieczór z dziennikiem” i jeszcze przed jego końcem wyłączył telewizor, udając się do swego pokoju na spoczynek. Szostak również nie wychodził już ze swego pokoju po spacerze, z wyjątkiem krótkiej wizyty w łazience, położonej na korytarzu. Zeznanie Kosmała było podobne, nie zawierało nic godnego uwagi, poza tym, że wyróżniało się swą lakonicznością. Wiewiórski stwierdził, że od zmroku do późnej nocy spędził czas w kuchni, mieszczącej się w suterenie, oddając się wraz z pokojówką Wandą Sosińską zajęciom gospodarskim. Mieli dużo pracy z ulokowaniem przywiezionych właśnie kartofli w specjalnych kojcach. Trzeba je było przy tym przebierać, bo część okazała się nadgniła.

Ekipa techniczna MO, po zakończeniu swych czynności wewnątrz budynku, przeszukiwała ostatnie metry ogrodu wokół pensjonatu. Znalaziono i zabezpieczono kilka śladów tych samych stóp w obuwiu męskim, mogących mieć znaczenie dla sprawy. Ślady odkryto -bowiem w miejscu zwykle nic uczęszczanym, za szpalerem ozdobnych krzewów, osłaniających osobę, która je tam pozostawiła, od strony willi.

Do porucznika Kaczorowskiego podszedł nagle jeden z funkcjonariuszy.

— Oto znalezisko z ostatniej chwili — rzekł. — Leżał pod murem domu, ukryty w kwiatach na kłombie.

Znalezionym przedmiotem był krótki, ciężki łom żelazny, długości około czterdziestu, a grubości trzech centymetrów. Na końcu łomu widniały ślady, które z dużym prawdopodobieństwem określić można było jako ślady skrzepłej krwi.

— Mamy więc prawdopodobne narzędzie zbrodni — rzekł porucznik.

Technik umieścił tymczasem łom w foliowej torebce, oznaczając ją numerem.

Ekipa techniczna odjechała z miejsca przestępstwa. Przyjechał natomiast służbowym Fiatem sierżant Edward Sójka, który oddany przez miejscowy posterunek MO do pomocy porucznikowi, przeprowadził wywiad w okolicy.

— Na stacji kolejowej nikt nie zauważył nic szczególnego — zameldował sierżant. — Natomiast kierowca autobusu PKS przypomniał sobie, że jakiś mężczyzna w średnim wieku, krępy, pytał go, ile jest przystanków do Krajewa Morskiego. Zapamiętał go właśnie dlatego, że ów mężczyzna nie wysiadł w Krajewie, tylko wcześniej, w Wydmach.

— Może to jest pierwszy krok we właściwym kierunku, a może fałszywy trop — rzekł porucznik. — Ale o krępych mężczyźnie, widzianym koło willi, mówiła także Sosińska.

Do drzwi werandy, która spełniała dotąd rolę zaimprovizowanego gabinetu przesłuchań, zapukał nowy gość.

— Jestem sąsiadem, mam domek położony naprzeciw pensjonatu „Mariola” i nazywam się Erazm Milewski. Wiem, co tu się stało i dlatego z obowiązku przyszedłem powiedzieć o czymś, co może być istotne dla wykrycia sprawy. Otóż z moich okien widać pokój pana Borowicza i często też widywałem jego samego. Ale ubiegłego wieczora, pamiętam, dochodziła może dziewiąta, zauważyłem, że w pokoju paliło się światło i nagle ukazał się tam zupełnie obcy mężczyzna. Zrobił jakby kilka kroków po pokoju, po czym zaraz wyszedł.

— Mówi pan „obcy” w tym sensie, że nigdy nie widział go pan poprzednio? — spytał porucznik.

— Raczej tak — odpowiedział przybysz. — Ale już na pewno nie był to Borowicz.

Porucznik Zbigniew Kaczorowski zszedł po schodach do sutereny i zapukał do drzwi kantorku za kuchnią, gdzie urzędował Leon Wiewiórski. Zajęty był właśnie wpisywaniem sum z rachunków do podłużnego arkusza papieru.

— Czy można?

— Proszę — Wiewiórski złożył papiery i uprzątnął stół.

— Od jak dawna zna pan zamieszkałych u pana obecnie gości?

— Najdawniej znam, to znaczy znałem, pana Borowicza — odparł zapytany. — Przyjeżdżał jeszcze za poprzedniego właściciela, Tarczyńskiego, od którego kupiłem ten dom. Za moich czasów zjawiał się prawie co rok, zawsze zamawiał ten sam pokój na cały sierpień.

— Przyjeżdżał sam?

— Zawsze sam, od czasu, kiedy rozwiódł się, chyba dziesięć lat temu. Przedtem podobno był raz z żoną. Wiem to od Wandy Sosińskiej, która pracowała tu jeszcze za poprzedniego właściciela.

— A inni lokatorzy?

— Pani Strzałecka jest u mnie już piąty raz. Pan Żarnecki po raz pierwszy, ale kilka lat temu spędzał już urlop w Krajewie, mieszkając w willi „Gwiazda Morska”. Podobno mu się tam nic podobało, znając więc nazwę mojego pensjonatu, napisał list jeszcze w maju i przysłał zaliczkę. Pana Kosmałę goszczę też po raz pierwszy. Przyprowadził mi go pośrednik, który kręci się na stacji kolejowej.

— Wczorajszy wieczór spędził pan w kuchni... Do której pan był tam zajęty? — pytał porucznik.

— Powiem prawdę, że nie patrzałem na zegarek. Ale na wycucie, chyba do pierwszej w nocy. Sosińska poszła spać jakąś godzinę przede mną.

— Gdzie pan wyrzucił te zgniłe kartofle? — rzucił nagle porucznik.

— W rogu posesji, koło Śmietnika. Sąsiad trzyma świnkę, a ponieważ jest dziura w płocie od jego strony, nie mam nic przeciw temu, żeby zwierzak się pożywił, tym bardziej że nie może przedostać się do mojego ogrodu, bo śmietnik jest od niego odgradzony siatką — wyjaśnił Wiewiórski.

— Jaki personel zatrudnia pan w kuchni?

— Kucharkę i podkuchenną.

— Do której pracowały one wczoraj?

— Chyba do piątej po południu. Po przygotowaniu kolacji, złożonej z zimnych przekąsek, zwolniłem je do domu.

Porucznik kreślił coś na papierze, zastanawiał się długo, wreszcie spytał:

— Czy nie domyśla się pan, jak to mogło się stać, że w pokoju Borowicza zastano zapalone światło?

Wiewiórski jakby wahał się przez chwilę. ? — To proste. Sam je zapaliłem.

— Po co?

— Miałem kosić trawę wieczorem. Z pokoju Borowicza pada na trawnik trochę światła.

— I kosił pan wieczorem trawę?

— Bardzo niewielki kawałek. Dlatego zapomniałem w ogóle o tym panu powiedzieć. Potem przywieźli kartofle i nie było czasu.

Kaczorowski nie dał poznać po sobie, że wyjaśnienia Wiewiórskiego nie trafiają mu do przekonania. Akurat godzinę wcześniej oglądał trawnik dość dokładnie i wydał mu się on w całości skoszony.

Wiewiórski nie miał w ogóle zbyt dobrej opinii u funkcjonariuszy miejscowego posterunku. Sierżant Sójka zdążył już wtajemniczyć porucznika w pewne informacje, wiążące osobę Wiewiórskiego z nielegalnym handlem obcymi walutami.

Kaczorowski zastał sierżanta na werandzie. Leżała przed nim podarta i złożona obecnie z części kartka pocztowa z jakimś widoczką.

— To może być coś, poruczniku — rzeki sierżant — coś, co się liczy.

W jego oczach tliły się iskierki nic ukrywanego zadowolenia.

— Na wszelki wypadek spytałem pokojówkę, czy wieczorem nie sprzątała pokoju Borowicza — wyjaśnił — ona zaś odpowiedziała, że nie, że tylko wyrzuciła śmieci z kosza w pokoju. Udało mi się trafić do pojemnika, przypadkowo pustego, do którego Sosińska wrzuciła te śmieci. Ta pocztówka jest plonem.

Kaczorowski pochylił się nad pocztówką. Z jednej strony widniała na niej fotografia jakiegoś kwiatu, złożona zaś od strony przeznaczonej na korespondencję, zawierała następująca treść: „Drogi Romku! Wspominam z radością i tęsknotą nasz marzec w Zakopanem. Jeśli mnie bardzo poprosisz, to może spotkamy się w lecie nad morzem. Twoja Lucjana P.” potem następował dość lakoniczny adres: „Pan Roman Borowicz, Warszawa, Teatr Popularny”. Poza tym kartka zawierała adres nadawcy charakteryzujący się dużą niedokładnością: „Lucjana P. Białobrzegi nad Pilicą” oraz znaczek pocztowy za złotówkę.

— Takiego pionu poszukiwań mogę wam rzeczywiście pogratulować — stwierdził porucznik. — Kartka jest intrygująca.

— Jest to kartka niezwykle dziwna — dzielił się swymi spostrzeżeniami sierżant. — Przede wszystkim te adresy, takie niekompletne. Wreszcie fakt, że nalepiony znaczek nic posiada stempla, czyli kartka nie została w ogóle wysłana. Jeśli nie została wysłana, to jak znalazła się w koszu w pokoju Borowicza i dlaczego adresowana była do jego teatru w Warszawie?

— Najlepszą drogą do uzyskania odpowiedzi na te znaki zapytania byłoby odnalezienie autorki listu, jeśli rzeczywiście taka osoba istnieje. Białobrzegi nad Pilicą są raczej miejscowością niezbyt dużą.

— Jeśli porucznik pozwoli...

— Was wolę pozostawić na miejscu jako lepiej znającego tutejszy teren — zdecydował porucznik; — Sam pojedę do tych Białobrzegów. Najpierw samolotem do Warszawy, na krótką choćby rozmowę z dyrektorem Teatru Popularnego. Stamtąd samochodem do Białobrzegów.

— Jeszcze jedno — meldował sierżant. — Podobno kręcił się w okolicy jakiś dziennikarz.

— Trzeba z nim porozmawiać — polecił porucznik. — Pułkownik podkreśla zawsze, żeby nic ukazało się w prasie nic, co mogłoby utrudnić śledztwo. Często najdrobniejszy szczegół może stanowić ostrzeżenie dla sprawcy i przeszkodzić w jego ujęciu. Dyrektora poproszę ze swojej strony, aby w środowisku aktorskim

rozeszła się pogłoska o nieszczęśliwym wypadku podczas kąpieli w morzu. Niech pan tymczasem spróbuje dowiedzieć się możliwie najwięcej o Wiewiórskim. Strzałecka i Szostak widzieli' podobno, jak krytycznego wieczora około ósmej krył się za drzewami, jakby czekając na kogoś. Może uda się panu też dowiedzieć czegoś więcej o kłótni w pokoju Borowicza i wizycie nic zidentyfikowanego osobnika.

IV

— Proszę o zachowanie dyskrecji na temat mojej wizyty u pana — zwrócił się porucznik Kaczorowski do dyrektora Teatru Popularnego w Warszawie, Stefaniaka, w którego gabinecie zjawił się zaraz po przyjeździe do stolicy. — Proszę pana również o podtrzymywanie pogłosek o utonięciu Borowicza podczas kąpieli w morzu.

— Są jednak także inne wersje, mówiące o zamordowaniu naszego kolegi — powiedział dyrektor, wpatrując się w swego gościa przenikliwie.

— I taka jest niestety prawda — przyznał porucznik. — Zachowajmy ją jednak na razie wyłącznie dla siebie. Czy Borowicz był lubiany w zespole?

— Wie pan, w naszym zawodzie różnic bywa. Każdy woli własny sukces ot! powodzenia kolegi. A Borowicz wybił się ponad przeciętny poziom bardzo, nie przesadzę, jeśli powiem, że doszedł do szczytów kariery i na tym piedestale trwał niezmiennie od lat. Miał też niewątpliwie więcej propozycji niż inni. Myślę o filmie i telewizji.

Wprost nie dawali mu spokoju. Często zastanawiał się głośno w gronie najbliższych, czy jest sens pracować tak intensywnie, czy nie czas na odcinanie kuponów od kapitału własnej popularności. Ale zawód aktorski wciąga silnie, a powodzenie, co tu ukrywać, działa jak środek odurzający. Borowicz stał się najczęściej podziwianą twarzą filmu i telewizji i, co ciekawe, nic opatrzył się publiczności ani krytykom. Jasne, że nic wszystkim się to podobało.

— Miał wrogów?

— Jeśli ktoś czuł do niego wrogość w głębi serca, ukrywał to skrzętnie. Borowicz był koleżeński, przyjazny i słynne stały się jego anegdoty i kawały, którymi zabawiał kolegów. Okazanie mu wrogości spotkałoby się z powszechną dezaprobatą, przynajmniej oficjalnie. Utało się, że jest lubiany.

— Co pan może powiedzieć mi o Józefie Szostaku?

— Los nie obdarzył go wybitnym talentem. Ale jest aktorem pracowitym, sumiennym i nie narzeka z powodu małych ról, do jakich się w rzeczywistości jedynie nadaje.

— Czy mógłby zniechęcić Borowicza za jego powodzenie do tego stopnia, by z powodu jakiejś dodatkowej emocji czy skutku silnego wzburzenia... posunąć się za daleko? — zadał pytanie porucznik, ale niezbyt widać zadowolony z tego sformułowania, zaraz dodał: — Pytam oczywiście o pana jak najbardziej osobiste, subiektywne zdanie... Ma pan przecież jakiś osąd o ludziach, z którymi pan pracuje...

— Tak, mam swój subiektywny osąd na temat takiej możliwości — cyzelował swą odpowiedź dyrektor Stefaniak. — I od razu muszę panu powiedzieć, że ją wykluczam. Absolutnie. Ludzie sztuki są zbyt

wrażliwi, by zdobyć się na tak brutalny czyn. A Szostak, mimo braku wielkich uzdolnień artystycznych, jest człowiekiem teatru, człowiekiem sztuki.

— Jeszcze jedna sprawa — porucznik zapisywał coś w swym notatniku — co pan wie o życiu osobistym Romana Borowicza?

— Chodzi panu pewnie o kobiety — uzupełnił dyrektor. — Muszę przyznać, że wiem niewiele. Inni zresztą też na ten temat mało wiedzą. Po rozwodzie z żoną Borowicz żył sam i jeśli nawet łączyło go kiedyś coś z jakąś kobietą, to musiał utrzymywać znajomość w całkowitej tajemnicy.

— Dlaczego? Przecież był wolny?

— Trzeba znać Borowicza, by odpowiedzieć na to pytanie, uważał, że jeśli nie będzie sam cenil się wysoko, jego cena spadnie także w oczach innych. Obawiał się opinii człowieka, korzystającego z łatwych zdobyczy. Uważał pewnie, że zaszkodziłoby to jego opinii wybitnego artysty, wielkiego aktora. A osoby, z którą chciałby się znów związać na stałe, może nie znalazł.

Ta ocena dyrektora trochę nie pasowała porucznikowi Kaczorowskiemu do historii z kartką.

— Czy nie słyszał pan dyrektor o jakiejś znajomej pana Borowicza, mającej na imię Lucjana? — spytał.

— Nie. Na pewno nie — oświadczył dyrektor. — Muszę dodać jeszcze w związku z tym, co się stało, że wiadomość o jego śmierci wywarła przygnębiające wrażenie na całym zespole. Ludzie przyjęli ją z prawdziwym żalem.

Po opuszczeniu teatru porucznik Kaczorowski nic miał czasu na baczniejszą obserwację życia warszawskiej ulicy w gorące jeszcze południe jednego z ostatnich dni sierpnia. Wsiadając do służbowego Fiata, zamówionego w Komendzie Stołecznej, zdążył tylko rzucić okiem na ostatnie letnie wycieczki zbiorowe z prowincjonalnych zakładów pracy, na pierwsze gromadki dzieci, paradujące w nowo zakupionych mundurkach szkolnych, na ostatnich w tym roku plażowiczów, spieszących z wałówkami i kocami na plaże wiślane. Wkrótce Fiat skręcił w Jankach na szosę krakowską.

Po krótkiej rozmowie na posterunku MO w Białobrzegach nad Pilicą okazało się, że sprawa z imieniem Lucjana jest nadspodziewanie prosta. Z całą pewnością istnieje tu osoba o takim imieniu i to w pojedynczym, niepowtarzalnym egzemplarzu.

Jest nią pani Lucjana Pomorska, żona właściciela miejscowej cukierni, dama dość ekscentryczna, tak z wyglądu, jak i zachowania. Obecnie przebywa, na wczasach nad morzem. Na miejscu jest za to jej mąż, Zenon Pomorski, zajmujący mieszkanie w tym samym co cukiernia domu, przy głównej ulicy. Kaczorowski poprosił o bezzwłoczne wezwanie go na posterunek.

Pomorski był zażywnym panem o apoplektycznym kolorze twarzy i nieco wyłupiastych oczach.

— Czy zna pan Romana Borowicza? — zapytał porucznik bez żadnego wstępu. Pomorski zmieszał się.

— Skąd pan wie? — zapytał. — Jak doszła do panów ta sprawa? Borowicz złożył skargę?

— Pan wybaczy, ale my jesteśmy tu od zadawania pytań. Skąd pan zna Borowicza?

— To bardzo głupia sprawa, ale skoro to panów interesuje, opowiem — zaczął Pomorski. — Doszły mnie słuchy, że moja żona ma romans z aktorem Romanem Borowiczem. Powiedziała mi to jedna z sąsiadek w zaufaniu. Jej podobno zwierzyła się sama moja małżonka. Nie chciałem w to wierzyć, bo skąd tak

słynny aktor do mojej żony, nie wiem, czy pan porucznik ją widział... Ale różne cuda zdarzają się na świecie... Toteż gdy ona wyjechała na wczasy do Jastarni, a ja znalazłem tę kartkę...

— Jaką kartkę?

— Taką z kwiatkiem i tekstem, coś w tym rodzaju: „*Drogi Romanie, tęsknię na myśl o wspomnieniach z naszego wspólnego pobytu w Zakopanem w marcu, może w lecie spotkamy się nad morzem. Twoja Lucjana P.*” Przyznam, że to mnie już poważnie zaniepokoiło. Jeśli pisze do niego kartki miłosne, wszystko jest możliwe... Miała być w Jastarni co prawda z moją szwagierką, ale kto tam trafi za kobietami. Kiedy więc jeden z moich kolegów przypadkiem wrócił znad morza i opowiedział, że w Krajewie Morskim widział Borowicza, który mieszka tam podobno w pensjonacie „Mariola”, nie wytrzymałem, wziąłem tę kartkę i pojechałem do Krajewa. Zaraz po przyjeździe znalazłem Borowicza, on kategorycznie wszystkiemu zaprzeczył, zapewnił mnie, że to jest jakiś głupi żart, a na dowód pokazał mi wycinki prasowe, w których mowa, że cały marzec spędził za granicą ze swym teatrem w Londynie, natomiast w Zakopanem nie był już dziesięć lat ze względu na serce. Przekonał mnie, że to bujda. Pożegnałem go i niedługo potem wyjechałem z Krajewa. Z pewnością pan Borowicz cały przebieg naszej rozmowy potwierdzi.

— Nie — rzucił porucznik — nie potwierdzi, bo nie żyje.

V

Przywieziony do Komendy Miejskiej MO w Kołobrzegu Zenon Pomorski zeznał:

—Do Krajewa Morskiego przyjechałem około czternastej kolejną. Przypadkowy przechodzień, zapytany o drogę, wskazał mi, jak dojść do willi „Mariola”. Gdy byłem już blisko pensjonatu, zauważyłem jakieś wychodzące z niej dwie osoby. Inne dwie osoby, mężczyzna i kobieta, siedziały w ogrodzie. Gdy byłem już w drzwiach prowadzących do „Marioli”, spotkałem wychodzącego z pensjonatu mężczyznę, którego zapytałem, gdzie można znaleźć Borowicza. Wtedy zapytany powiedział, że on jest Romanem Borowiczem. Nic rozpoznałem go, ponieważ nie pamiętałem jego twarzy z fotosów, zamieszczanych w tygodnikach, ;! filmy w kinie i telewizji oglądam rzadko. Borowicz spytał mnie, z kim ma przyjemność i jaki mam do niego interes. Po moim oświadczeniu, że sprawa jest wyjątkowo delikatna, Borowicz zaprosił mnie do swojego pokoju na pierwszym piętrze. Po drodze do pokoju nie spotkaliśmy nikogo. Była to pora poobiadowa i prawdopodobnie "Wszyscy wyszli gdzieś na spacer. Kiedy znaleźliśmy się w jego pokoju, powiedziałem mu, że myli się, jeśli uważa mnie za osobę, która pozwoli, by zniszczone zostało jego szczęście osobiste. Borowicz odpowiedział, że nic rozumie, o co mi chodzi, ja zaś zapytałem, czy nazwisko Pomorski nic mu nie mówi. On oświadczył, że nic zupełnie. Wtedy ja spytałem, czy również nic mówi mu nie imię Lucjana. Borowicz w dalszym ciągu zaprzeczał. Na to wyciągnąłem kartkę pocztową, znaną mi z moim domu i mocno już zderwowany wykrzyknąłem, że jest on podłym uwodzicielem mojej żony, że tak postępować nie wolno i ja nie mam zamiaru tego tolerować. Borowicz zaczął czytać treść kartki, po czym stwierdził, że jest to czyjś niezbyt mądry żart. Podkreślił z całym naciskiem, że nigdy nic znał ani nie zna żadnej Lucjany P., a w szczególności Lucjany Pomorskiej. Po okazaniu Borowiczowi zdjęcia mojej żony, które miałem przy sobie,

ten powtórnie i zdecydowanie oświadczył, "że nigdy nie widział takiej osoby. Na moje pytanie, jak tłumaczy sobie tę kartkę do siebie, powiedział, że rzeczywiście może to być czyjś żart. Bierze też pod uwagę inne wytłumaczenie sprawy. Otóż zdarzyło mu się już, że jakaś dama wymyśliła go sobie jako mężczyznę, z którym miewa zażyłe stosunki, mimo że znała go tylko ze sceny i filmu. . Znajomości zawarte z osobami ze sfer artystycznych niektórym imponują tak bardzo, że nic posiadając takowych, gotowi są owe koneksje wyimaginować. Borowicz zaznaczył, że mogło tak stać się w tym wypadku, czego ja, znając nie zrównoważony charakter mojej małżonki, nie mogłem wykluczyć. Borowicz pokazał mi również wycinki prasowe, z których wynikało, że marzec spędził nie w Zakopanem. lecz w Londynie, na występach ze swym teatrem, co świadczy przeciwko prawdziwości danych, zawartych w kartce. Borowicz zwrócił mi uwagę na jeszcze jeden szczegół. Kartka była rzekomo pisana do niego, przez osobę nie znającą nawet jego dokładnego adresu, ale nie wysłana. Dlaczego? Bo inne było jej widocznie przeznaczenie. Takie mianowicie, bym ja jej treść przeczytał. Jaki cel miałyby moja żona w tym, żeby mnie pobudzić do gniewu czy wywołać zazdrość, tego już Borowicz nie mógł wiedzieć. Jego argumenty przekonały mnie. Zresztą n:e wyglądał na krętac2a, wzbu-
dzał zaufanie. Podarłem przyniesioną kartkę, wrzuciłem ją do kosza i przeprosiwszy go, pożegnałem się. Wkrótce potem odjechałem z Krajewa Morskiego.

Tyle Pomorski. Jego żona, która dowiedziała się o zatrzymaniu męża przez MO i jego pobycie w komendzie w Kołobrzegu, niebawem z własnej inicjatywy przyjechała tam prosto z Jastarni. Przesłuchujący Pomorską porucznik Kaczorowski, nie mógł powstrzymać się od nazwania jej, w myśli oczywiście, farbowanym koczkodanem. Za tym określeniem przemawiały fioletowe włosy i mnóstwo różnorodnych barwników, jakimi napacykowała całą swą twarz. Oświadczyła:

— Nie znam oczywiście Borowicza i widywałam go tylko na filmie, do teatru nie chodzę. W jakimś tygodniku przeczytałam, że Borowicz pracuje w zespole Teatru Popularnego w Warszawie. Tak, mówiłam sąsiadce, że mam z nim romans, po prostu dla żartu, a potem wpadłam na pomysł z tą kartką, żeby ją podsunąć mężowi, który od wielu lat wcale nie zwraca na mnie uwagi i pod każdym względem zaniedbuje. Myślałam, że ta kartka go ruszy.

— Ruszyła, rzeczywiście — przyznał jej porucznik — pojechał do Borowicza do Krajewa Morskiego.

— Ale dlaczegoście go aresztowali? Kaczorowski nie wyjaśniał już różnicy między aresztowaniem a zatrzymaniem.

— Były powody do przypuszczeń, że pani mąż, pod wpływem kartki, jaką znalazł, mógł mieć w stosunku do Borowicza złe zamiary.

— To wykluczone! — protestowała gorąco. — Ten safandula, pocziwy ciemiega, miałby stanowić groźbę dla kogoś? W ogóle do głowy by mi nic przyszło, że on zdecyduje się na podróż do Borowicza, ale jeśli się zdecydował pojechać, to chyba tylko w celu uzyskania od niego jakichś wyjaśnień. Panie poruczniku! — uderzyła w ton pokory. — Ja jestem wszystkiemu winna, mnie zamknijcie, nie jego! Daję głowę, że on nie mógł mieć żadnych złych zamiarów!

Dowieziona z pobliskiego Krajewa Morskiego Wanda Sosińska po pokazaniu jej Pomorskiego w grupie innych mężczyzn stwierdziła, że nie ma wśród nich osobnika, którego widziała krytycznego wieczoru przed „Mariolą”. Natomiast pewnego rodzaju niespodziankę stanowiło oświadczenie przybyłego również z Krajewa Erazma Milewskiego, który z grona mężczyzn, po krótkim zaledwie zastanowieniu, natychmiast wyluskał Pomorskiego jako mężczyznę, którego widział tego wieczoru przed godziną dziewiątą przebywającego chwilę w pokoju Borowicza.

Powiadomiony o tym Zenon Pomorski załamał się zupełnie.

— Teraz się już nie wygrzebię z tej sprawy za żadną cenę! Przez ten głupi pomysł mojej żony nie wyjdę nigdy z więzienia! Tak, byłem jeszcze raz w pokoju Borowicza już wieczorem, ponieważ do odejścia pociągu pozostało kilka godzin, a uważałem, że właściwiej postąpię, jeszcze raz przepraszając go za najście i całą tę niemądrą sprawę. Nie zastawszy go, dałem jednak za wygraną. Byłbym może powiedział o tym wcześniej, ale kiedy dowiedziałem się, że Borowicz nie żyje, byłem tak wstrząśnięty, że nie mogło mi to przejść przez gardło. Bo jeśli zamordowany został akurat tego wieczora, kto uwierzy w moją niewinność? O tym, że nie zabiłbym za skarby nawet myszy, wiem tylko ja i osoby najbliższe. Jak udowodnię moją niewinność?

— "Na szczęście dla podejrzanych zgodnie z naszym prawem nie muszą oni udowadniać swej niewinności — sprostował porucznik — To organy ścigania mają obowiązek udowodnić ich winę.

— Czy długo pozostanę w areszcie? — zgaszonym głosem dopytywał się Pomorski.

— Nie — zakomunikował mu porucznik. — Był pan chwilowo zatrzymany. Z wnioskiem o zastosowanie aresztu tymczasowego nie będę na razie występował. Proszę tylko nie opuszczać swego miejsca zamieszkania i być do naszej dyspozycji.

Pomorski nic posiadał się ze szczęścia.

— Potrwałoby nieco dłużej, zanim przyznałby się do swojej powtórnej wizyty u Borowicza — rzekł porucznik do plutonowego, który sporządzał protokół po wyjściu przesłuchiwanego — gdyby wiedział, że "prawdopodobnie dwukrotnie przechodził w odległości niewielu centymetrów od ciepłych jeszcze zwłok...,"

VI

Na posterunku w Krajewie Morskim czekał na porucznika Kaczorowskiego sierżant Sójka z różnymi informacjami'.

— Po pierwsze, mamy ekspertyzę 'żelaznego łomu: są na nim ślady krwi tej samej grupy z jaką miał denat. Odcisków palców nie znaleziono. Po drugie, sekcja zwłok potwierdziła orzeczenie lekarza pogotowia: zgon między godziną dwudziestą i dwudziestą pierwszą, przyczyna zejścia — rozległe uszkodzenie tylnej części lewej i prawej półkuli mózgu, pęknięcie podstawy czaszki. 'Kształt rany świadczyłby o tym, że do jej zadania Użyto właśnie łomu, będącego przedmiotem ekspertyzy, Po trzecie: z Warszawy nadeszła informacja, że Roman Borowicz podjął ze swej książeczki PKO sto tysięcy złotych na krótko przed wyjazdem nad morze. Czyżby wziął te pieniądze ze sobą?

— O ile pamiętam, przy zwłokach znaleziono w portfelu tysiąc osiemset złotych. Należność za pobyt w „Marioli” Borowicz zapłacił 2 góry. zaraz po przyjeździe. Trzeba będzie wyjaśnić, co stało się z podjętymi pieniędzmi. Należałoby zainteresować się sytuacją finansową osób wchodzących w krąg naszego zainteresowania.

— Słusznie. Na koniec pozwoliłem sobie zachować szczegół najważniejszy, który może okazać się bombą — pochwalił się sierżant, ale zaraz dodał skromnie — albo drobiazgiem bez znaczenia.

— Cóż to takiego? — naglił zaintrygowany porucznik.

Sierżant Wyjął z mapnika notes, otworzył go i spomiędzy jego kartek wydobył strzępek papieru. Był to kawałek strony jakiegoś pisma z dopiskiem zrobionym ołówkiem na marginesie.

— Znalazłem ten świstek wciśnięty w gałęzie krzaków w ogrodzie „Marioli” na wysokości prawie dwóch metrów nad ziemią. Zresztą niedaleko miejsca, gdzie zebrano odciski gipsowe śladów stój). Widocznie ktoś go wyrzucił albo wiatr przywiał i wbił między gałęzie.

— Jest tu jakieś nazwisko — powiedział porucznik.

— Tak. Zaczniemy od tego, że ustaliłem, z jakiego pisma jest ten fragment. A więc ze strony tytułowej, a ściślej z prawego, górnego rogu strony tytułowej pisma „Motor” sprzed dwóch miesięcy. Sam jestem pilnym czytelnikiem tego pisma. Widoczna tu wyraźnie ostatnia litera tytułu „R” oraz fragment kolorowego zdjęcia pozwoliły mi na ustalenie daty ukazania się numeru. Nazwisko natomiast brzmi; Stombimierowski i świadczy, że sprzedawca z kiosku, jak-to jest w zwyczaju, zachował ten numer „Motoru”, na życzenie jakiegoś swojego stałego klienta. „Motor” ma chyba zbyt mały nakład.; przy tak szybko rosnącym zainteresowaniu motoryzacją nie starcza tego tygodnika dla wszystkich chętnych.

— Stombimierowski — powtórzył porucznik. — Rzadkie nazwisko.

— Właśnie — przytaknął sierżant — na to zwróciłem uwagę i zaraz zainteresowałem się, czy istnieją tu w okolicy jacyś ludzie o tym nazwisku. Poszukiwania w promieniu dwudziestu kilometrów dały wynik negatywny.

— Może jakiś kioskarz odłożył ten numer dla kogoś z przyjezdnych?

— Możliwe, ale mało prawdopodobne. Na ogół sprzedawcy w kioskach nic odkładają nic dla przyjezdnych tylko dla miejscowych, raczej dobrze sobie znanych. Również przyjezdni, którzy pojawiają się nad morzem przeważnie na dwutygodniowy pobyt, nie próbują zamawiać dla siebie pisma na nazwisko. Nic ma tego zwyczaju.

— Hm. Myślę, że ma pan rację. Nic możemy odrzucić tego śladu — potwierdził Kaczorowski. — Może w jakiś sposób łączyć się ze sprawą. Trzeba ustalić adresy wszystkich ludzi o tym nazwisku na terenie całego kraju.

— Na wszelki wypadek już łączyłem się w tej sprawie z Komendą Główną i czekam na odpowiedź

— Nic mogę po prostu ruszyć się stąd na krok, bo wystarczy chwila, a sprzątnie mi pan sprawcę sprzed nosa — zażartował porucznik:

— Otóż to, ja tu zastawiam pułapkę, nie dając szans mordercy, natomiast pan porucznik w tym samym czasie wypuszcza mocno podejrzanego — podjął grę Sójka

— Czasem mocno podejrzanym bywa niewinny i należy go wypuścić — zauważył porucznik — Tak jest. z Pomorskim, który mi tutaj zupełnie nie pasuje. Nie znaczy to, żebym wykreślił go już całkowicie z listy podejrzanych.

Porucznik opowiedział sierżantowi ó wszystkich szczegółach związanych z zeznaniami Pomorskiego i późniejszą konfrontacją ze świadkiem Erazmem Milewskim. Opisał przesłuchanie żony Pomorskiego i przyznanie się tego ostatniego do powtórnej wizyty.

— Jego zjawienie się wieczorem w pokoju Borowicza przemawia właśnie przeciw braniu go pod uwagę jako sprawcy. Gdyby miał zabić, zrobiłby to od razu, w uniesieniu, w gniewie, pod wpływem wzburzenia faktem, że siał się ofiarą wiarołomstwa, nie zaś po kilku godzinach od, chwili, gdy Borowicz dostarczył mu rzeczowych argumentów za uznaniem całej sprawy z kartką jako mistyfikację.

— Bywa tak — rozważał sierżant — że ludzie łatwo ulegają wzburzeniu i potem łatwo dają się przekonać, że nie było ku temu powodów. Ale potem równie łatwo przyznają sami przed sobą, że dali się zwieść, wykorzystano ich naiwność i znów powracają do własnej wersji wydarzeń. Mogło tak właśnie być z Pomorskim. Wyszedł od Borowicza przekonany, że sprawa z kartką to mistyfikacja przygotowana przez jego żonę, ale potem ogarnęły go wątpliwości. Czy tak normalnie postępują kobiety? Raczej ukrywają swoje grzeszki, niż afiszują się wymyślonym przez siebie. A to, że Borowicz nie przyznał się do romansu z jego żoną? Przeważnie ludzie zapierają się w żywe oczy, gdy im się coś takiego zarzuci, jeśli nie są schwytani na gorącym uczynku. Myśl, że został przez Borowicza wystawiony na dudka, w połączeniu z przeświadczeniem o zdradzie żony, stanowiła teraz jeszcze silniejszy ładunek emocjonalny niż przed pierwszą wizytą. Oszukany przez Borowicza, poczuł się Pomorski jeszcze bardziej pokrzywdzony i zapragnął zemsty.

Po co jednakże wszedł do jego pokoju po dokonaniu czynu?

— Żeby odszukać w koszu podarła przez siebie kartkę, która mogła naprowadzić na jego ślad — triumfował Sójka.

Ale przewaga krótko pozostała po jego stronie, bo porucznik zaraz odparował cios w sposób decydujący o wyniku spotkania.

— Nie zabiłby nie odzyskawszy kartki wcześniej. Na cóż zresztą zdałoby się jej odzyskanie, gdyby Borowicz zdążył już opowiedzieć komuś o całej sprawie? W moim osobistym przekonaniu zabezpieczone przez nas odciski stóp za szpalerem w ogrodzie są odciskami sprawcy. Do obuwia, które nosi Pomorski, nie pasują zupełnie.

— W każdym razie pani Lucjana Pomorska pewnie raz na zawsze zaniecha korespondencji ze słynnymi aktorami — stwierdził sierżant. — A nam pozostaje tajemniczy Stombimierowski,

— Także czeka nas obowiązek znalezienia odpowiedzi na kilka pytań — dodał porucznik. — Czy Wiewiórski czekał na kogoś tego wieczora? Co znaczyła rozmowa Kosmali z Borowiczem? Kogo widziała Sosińska? Gdzie podziało się sto tysięcy podjęte przez Borowicza przed wyjazdem? A wreszcie odpowiedź na ostatnie i jednocześnie najważniejsze pytanie; kto zabił Borowicza?

VII

Na plaży krajewskiej jesienne słońce grzało jeszcze mocno.

— Pan pozwoli tutaj, proszę bardzo, panie inżynierze! — zapraszającym gestem wskazała Zofia Strzałecka miejsce obok siebie. — Sama wykopałam ten grajdołek, własnymi rękami!

- Inżynier Jan Kosmala skorzystał z zaproszenia z widocznym wahaniem i niechęcią. Zwykle przychodził na plażę sam ze zwiniętym pod pachą kocem i kładł się na uboczu, blisko wydm, gdzie mógł ukryć się przed słonecznymi promieniami w chłodnym cieniu karłowatych sosen. Jego samotnicze upodobania bywały nawet często przedmiotem dociekań w plażowych rozmowach mieszkańców „Marioli”. Niektórzy twierdzili, że inżynier nie lubi demonstrować wałków tłuszczu na swym niezbyt zgrabnym korpusie, inni uważali go po prostu za mruka, unikającego towarzyskich rozmów. Teraz Kosmali nie wpadła widocznie do głowy dość zręczna wymówka, bo w milczeniu rozłożył swój koc obok opalającej się Strzałeckiej.

— Od chwili lej tragedii dopiero teraz ochłonęłam na tyle — powiedziała — by odzyskać poczucie czasu. Czy pan wie, że od momentu znalezienia tego biedaka na werandzie minęło dopiero dwa dni? Tak, to było rankiem dwudziestego piątego, a dzisiaj mamy zaledwie dwudziesty siódmy. Mnie się wydaje, że cała ta ponura historia ciągnie-się już nieskończenie długo! Pan to też musiał przeżyć, z pewnością wstrząsnął panem cały ten koszmar?

Kosmala chwilę nie odpowiadał.

—Koszmar — rzekł wreszcie — słusznie to pani nazwała. Diabli mnie biorą, kiedy pomyślę, że od kilku dni mogło mnie tu już nie być, zaoszczędziłbym sobie mnóstwo nerwów.

— Jak to mogło nie być pana?

— Miałem zamiar pozostać dwa tygodnie. Niepotrzebnie telefonowałem do moich zakładów. Powiedzieli mi, że z powodu czasowego wstrzymania realizacji pewnych produktów ze względu na opóźnienia w dostawach surowca mogę śmiało przedłużyć sobie pobyt o dziesięć dni, których jeszcze nie wykorzystałem z poprzedniego roku. Zostałem i tylko dlatego stałem się świadkiem.

— Co pan sądzi o tej sprawie? — zagadnęła inżyniera Strzałecka. ?-- Podobno ktoś z sąsiedztwa rozpoznał jakiegoś typa, który kręcił się w pokoju Borowicza. Pan myśli, że to on zabił?

— A skąd mogę wiedzieć? — obruszył się Kosmala. — Mnie przy tym nie było!

— Niepotrzebnie się pan unosi. Człowiek mimo woli jest ciekaw, kto mógł dopuścić się takiej strasznej zbrodni:..

— Mnie podobne sprawy zbytnio nie interesują — stwierdził. — Zły jestem, że zmarnowało mi to urlop. A kto mógł zabić? Ludzie domyślają się tego lub owego, a zwykle okazuje się, że zabił po prostu bandyta. Zawodowy bandyta. Tacy się do tego nadają, normalni ludzie - nie.

— Proszę się nie pogniewać, ale wydaje mi się, że pan trochę upraszcza sprawę — nie zgodziła się z tezą inżyniera. Strzałecka. — Różnie bywa.-Zdarzają się wypadki, że sprawcami są ludzie z-najlepszego towarzystwa, z wyższym wykształceniem.

— Nie znam się na tym — odrzekł Kosmala. Nie zrażona brakiem zainteresowania swego rozmówcy Strzałecka ciągnęła dalej:

— Bywają sprawcy z dyplomami, ogólnie szanowani i to z najbliższego grona ofiary. Często koledzy. W takich wypadkach motywem czynu jest przeważnie zazdrość. Zazdrość... Nic wiem, czy pan sobie zdaje sprawę, jak to niskie uczucie występuje na porządku dziennym właśnie w sferach artystycznych, wśród akto-

rów! To przede wszystkim aktorzy czy aktorki, będąc świadkami sukcesów swych kolegów odchodzą wprosi od zmysłów z zazdrości i nienawiści. Zatyka sobie uszy, kiedy słyszą brawa publiczności przeznaczone dla innych... Wie pan, ja osobiście nie chcę snuć żadnych przypuszczeń, ale na przykład Szostak mógł żywić w swoim sercu to niechlubne uczucie w stosunku do swego kolegi, Borowicza. Tamtemu przecież w życiu tak się poszczęściło? Może Szostak ma nawet podstawy, żeby uważać Borowicza za niesłusznie wyniesionego przez los na wyżyny sławy. Przecież czyjeś sukcesy zależą często od kaprysu dyrektora teatru czy recenzenta, który chwali jakiegoś wykonawcę, choć niekoniecznie nawet był na granej sztuce. Szostak sam przez pewien czas był ulubieńcem krytyki, co jednak wkrótce się skończyło. Może się komuś naraził? A może to właśnie Borowicz sprzątnął mu sprzed nosa rolę, która utrwaliłaby jego sławę?

— Fantazjuje pani — orzekł Kosmala — Skąd pani tak zna stosunki i zwyczaje panujące w świecie aktorskim?

Oczy Strzałeckiej rozblęły żywym blaskiem. W głosie zabrzmiało podniecenie.

— Panie inżynierze! Ja przecież jestem artystką, sama na sobie doświadczyłam doli i niedoli artystycznego zawodu. Nic występowałam wprawdzie na scenie, tylko na estradzie, ale w gruncie rzeczy to ten sam świat, pełen blasków i chwały, jednak również pełen goryczy klęski z doznanych zawodów. Śpiewałam, proszę pana, miałam wyjątkowe zdolności, powiedział mi to zresztą pewien profesor z Warszawy, który sam studiował za granicą, to nic był jego wymysł, tylko fakt sprawdzalny na estradzie. Ludzie bili brawa, dostawałam kwiaty! Cóż, kiedy po pewnym czasie wskutek intryg i nacisków, jakie poprzez dyrekcję „Estrady” wywierano na naszego impresaria, ten rozwiązał ze mną umowę i zaangażował inną piosenkarkę. Głosu to ona nic miała ani słuchu, z dykcją u niej było zupełnie źle, ale dla kariery gotowa była z każdym iść do łóżka. Wie pan, ja uważam, że człowiek, nawet, artysta, musi mieć jakąś swoją godność, nie każde metody są dobre, żeby dojść do celu, nie wszyscy chcą zrobić z siebie szmatę... Nic dziwnego, że zrezygnowałam, zerwałam z tym zawodem zupełnie!

— Czy można?

Pytanie zadał Żarnecki, kładąc w grajdołku swą torbę, z której wystawała nakrętka od termosu.

Kosmala nic nie odpowiedział, a Strzałeczka była zbyt zdenerwowana wspomnieniami swej artystycznej kariery, żeby zauważyć nadejście Żarneckiego. Widać było, że rozdrapała ranę bardzo dla siebie bolesną. Żarnecki ulokował swe rzeczy w grajdołku me przejmując się brakiem wyraźnej aprobaty.

— Pogoda ciągle jeszcze dopisuje — zaczął. — Kiedy państwo wyjeżdżają? Ja chyba ostatniego dnia sierpnia. Milicja nie będzie miała nic przeciw temu, żebyśmy wrócili do domu?

— Nie wiem — rzekł Kosmala. — Ja mam urlop do końca sierpnia.

— Nie sędzę, by nas tu trzymano — powiedziała Strzałeczka, która zdążyła tymczasem ochłonąć i zapomnieć o swych żalach. — Chciałabym już znaleźć się w domu.

— Tak, proszę państwa — ciągnął Żarnecki — Kto by pomyślał, że piękny urlop nad morzem zakończy się tak nieprzyjemnym zgrzytem..

— Dla pana może to stanowić temat do jakiejś książki — zauważył Kosmala, obrzucając literata nieprzychylnym spojrzeniem.

— Czy tak przykra i ponura sprawa może być tematem książki? Nie wiem, nad tym się nie zastanawiałem. Miałem zupełnie inne sprawy do przemyślenia związane zresztą z tym, co się tu zdarzyło.

— Co takiego? — zaciekała się natychmiast Strzałeczka,

— To jest problem — Żarnecki był pełen rozterki — co począć, by nie wyrządzić komuś mimowolnej krzywdy, by nie sprowadzić na kogoś niezasłużonych kłopotów, a jednocześnie..

— Żarnecki nie skończył zdania. Nie wrócił też do tematu mimo nalegań Strzaleckiej.

VIII

Porucznik Kaczorowski zdecydował się porozmawiać jeszcze z kilkoma osobami z kręgów bliskich Borowiczowi, na co nie starczyło mu czasu podczas ostatniego pobytu w stolicy. Jego przyjazd do Warszawy przypadł, na dzień pogrzebu zmarłego, który odbył się wczesnym rankiem, bez rozgłosu, w asyście najbliższych. Nekrolog brzmiał: „Roman Borowicz, utalentowany aktor, zgasł nagle w pełni sił twórczych" »

Już po smutnej uroczystości porucznik zjawił się w mieszkaniu ojca aktora, Stanisława Borowicza. Przedstawivszy się, Kaczorowski uściśnił dłoń starszego pana w milczeniu po czym rzekł:

— Badam okoliczności śmierci pana syna, dlatego też, proszę mi wybaczyć, że w tak smutnym dniu muszę zadać panu kilka pytań.

— Jak zginął mój syn? — Borowiczowi seniorowi drżał głos, gdy zadawał to pytanie. — Mam prawo chyba wiedzieć?

— Chcę panu oszczędzić szczegółów, które nie są jeszcze jasne i nie daje pełnego, całkowitego obrazu sprawy — rzekł dyplomatycznie porucznik. — Na razie wiemy niewiele, może z czasem będę mógł pana poinformować dokładniej. W każdym razie nie wykluczamy, że Roman Borowicz został zamordowany. Dlatego chciałbym się dowiedzieć od pana, z kim żył blisko, kto należał do grona jego znajomych.

— Do najbliższej rodziny mego syna należałem tylko ja — odparł Stanisław Borowicz — moja żona, a jego matka, zmarła pół roku temu. Rodzeństwa nie miał. Dalszych krewnych mamy w Lublinie, ale o ile wiem, Roman ich nie widywał. Ze swą żoną, o czym pan już może wie, rozwiódł się dziesięć lat temu. Rozwód przeszedł bez większych wstrząsów dla obu stron. Dzieci nie mieli. Po tym rozwodzie mój syn nie utrzymywał ze swą byłą żoną kontaktu.

— Nie wie pan, czy spotykał się z jakąś kobietą?

— Nie wiem. Nie wykluczam tego, ale nie zwierzał się mi na ten temat.

— Czy z kimś z zespołu żył bliżej?

— Tu znów nie mam pewności — zastanawia! się ojciec aktora. — Nie słyszałem ani od niego, ani od nikogo innego, by się przyjaźnił z kimś w teatrze.

Porucznik podziękował starszemu panu i wyraził mu swe ubolewanie z powodu straty syna. Wycho-
dząc, spytał jeszcze, na co Roman Borowicz mógł podjąć na krótko przed swym wyjazdem sumę stu tysięcy
złotych ze swej książeczki PKO.

— Nic o tym nie wiem — zdziwił się ojciec zmarłego aktora. - Może powiedziała by mi zresztą, ale na
tydzień przed jego wyjazdem pojechałem do krewnych w Lublinie.

Dane dostarczone przez dozorcę domu, gdzie mieszkał aktor, umożliwiły porucznikowi rozmowę z go-
spodynią, która sprzątała u Borowicza. Jednak ani ta rozmowa, ani informacje otrzymano od dozorczy nic
dały Kaczorowskiemu dowodu, że ktoś odwiedzał aktora w ostatnim czasie, że utrzymywał z kimś zażyłe
stosunki. Nie przypominali też sobie żadnej wizyty, która czymkolwiek .zwróciłaby ich uwagę, nie słyszeli
żadnych kłótni.

sprzeczek. Ogółem w okresie ostatnich dwóch lat naliczyć można było trzy bridże w gronie kolegów i
jedno przyjęcie imieninowe. Jedynym wyjątkiem były spotkania szachowe z sąsiadem. Antonim Kolańskim,
emerytowanym inżynierem, które odbywały się na zmianę: raz w mieszkaniu Borowicza, raz u jego sąsiada i
powtarzały się w okresach mniej więcej tygodniowych.

Antoni Kolański przyjął porucznika w swym pokoju, odrywając się od jakiegoś problemu szachowego,
nad którym siedział za szachownicą.

— Z dotychczasowych informacji, jakie zebrałem — rzekł porucznik — wynika, że poza kolegami z
pracy pan widywał się z Borowiczem najczęściej. Czy zwierzał się panu z jakichś swoich kłopotów, rozma-
wiał z panem szczerze?

— Taka strata... Jakież to był kryształowy człowiek, szlachetny, a zarazem życzliwy — wypowiedział
Kolański to, co mu widocznie leżało na sercu. — Tak, myślę, że rozmawiał ze mną szczerze...

— Czy mógł mieć jakichś wrogów? — spytał porucznik.

— Nie, chyba nic. Może z wyjątkiem mniej utalentowanych kolegów, którzy mu zazdrościli. Ale tych
nie nazwałbym wrogami. W aktorstwie zawiści są normalne i nic doprowadzają do dramatycznych spięć.
Kończą się na robieniu plotek, złej kroi. Od tej strony nie demonizowałbym ewentualnych .rywali.

— Wie pan coś o kobietach, które go odwiedzały?

— Nie wiem nawet, czy zdarzały się takie wypadki... Jeśli tak, to musiał organizować te wizyty nie-
zwykle dyskretnie. Powiem panu, że on dbał o dobrą opinię, jak zwykły mieszczanin za dawnych czasów.
Nic było w nim nic z nawyków artystycznej bohemy. Pewien fakt świadczyłby zarówno o jego zasadach
moralnych, jak i chęci pomagania zwykłym ludziom...

— Jaki to fakt?

— Pracował u nich w teatrze młody człowiek. Zatrudniony był jako pomocnik mechanika sceny. Był
pijakiem. Bił żonę, lękliwą, delikatną dziewczynę, która przychodziła czasem do teatru w dniu, kiedy otrzy-
mywał pensję, błagając, by wrócił do domu tego samego dnia i w stanie przytomnym. Raz, przy okazji takiej
wizyty ów pijak pobił ją tak dotkliwie, że woźna teatralna musiała opatrywać ją środkami z apteczki pierw-
szej pomocy. Po tym fakcie Borowicz, do którego przecież ta sprawa nie należała, poszedł do mieszkania
tych ludzi. Oświadczył chuliganowi, że zostanie zwolniony z teatru i sprawa będzie skierowana do milicji,
jeśli jeszcze raz podobny fakt się powtórzy. Opowiadał mi to Borowicz, dokładnie, ponieważ historia miała
jeszcze swój dalszy ciąg. Młody pijak znów pobił swoją, żonę, tym razem przed teatrem. Borowicza wtedy
nie było. ale widocznie tamten zapamiętał go sobie z owej wizyty, złożonej im przez Borowicza uprzednio,
bo wykrzykiwał jego nazwisko, wygrażając, że jego jeszcze lepiej urządzi. Zaraz potem awanturnik zwol-

niony został z pracy w teatrze, którego dyrekcja zawiadomiła milicję o chuligańskich wyczynach tamtego. Zdaje się, że siedział nawet w areszcie czterdzieści osiem godzin, po czym dostał cztery tysiące grzywny na kolegium. Wiem jeszcze, że ze ściągnięciem grzywny były kłopoty, bo początkowo uciekł z domu w niewiadomym kierunku, potem został ujęty i grzywnę zapłacił.

— Nie zna pan nazwiska tego młodzieńca? — spytał porucznik.

— Nie, ale w teatrze z pewnością je panu podadzą.

W teatrze zastał porucznik akurat woźną Kudelską:

— Tak. doskonale sobie przypominam, jak opatrywałam rany tej biednej dziewczynie. Jak się nazywa-
ją? Zawidowscy. Jemu było Andrzej Zawidowski, pracował jako pomocnik mechanika sceny. Ale jaki tam z
niego był pracownik! Pijus był. panie komisarzu, i chuligan! Żeby takie chuchro uderzyć! Ja bym takiego z
mamra nie wypuszczała nigdy! A co, znów ją pobił?

— Potrzebny mi jest jego adres i miejsce pracy — rzekł porucznik. — Nie jest wykluczone, że bę-
dziemy musieli się nim zająć.

— Gdzie on mieszka, to ja nie wiem — odparła woźna — ale słyszałam, że on coś tam robił przy ta-
kim młodzieżowym zespole tanecznym w knajpie „Lola”, gdzieś na Czerniakowie

Knajpę „Lola” udało się porucznikowi odnaleźć bez większego trudu. Informacji o Zawidowskim za-
sięgnął u kierownika lokalu.

— Jest taki, zgadza się. Ale on nie pracuje u nas. tylko w zespole młodzieżowym Teksas Bazooka
Band. nic wiem nawet dokładnie, co to znaczy, ale tak się nazywają. On tam konserwuje aparaturę nagła-
śniającą. Grali tu do połowy sierpnia, ale potem nic chcieli przedłużyć kontraktu z gastronomią, bo ktoś za-
ofiarował im podobno bardzo intratną chałturę: objazd po wybrzeżu.

Będą jeździli przez miesiąc. Tu nawet kumpel, jeden kelner od nas, dostał niedawno kartkę z miejsco-
wości Wydmy, podobno to niedaleko Kołobrzegu, grali tam jeszcze niedawno w jakiejś tancbudzie pod na-
zwą „Rusałka”.

Kiedy porucznik wyszedł z „Loli”, której wewnątrz przesiąknięte było odorem taniego piwa i złych pa-
pierosów, odetchnął z ulgą. choć na ulicy powietrze też nie było najlepsze, a upał nadal dokuczał.

Ale ta „Rusałka” w Wydmach to było coś.

Od Krajewa Morskiego dzielił Wydmy tylko jeden przystanek PKS-u.

Porucznik ruszył w powrotną drogę do hotelu piechotą. Przez ostatnie kilka dni, co zresztą często zda-
rzało się w jego zawodzie, nic mógł oddawać się swemu ulubionemu zajęciu; godzinie biegu dziennie dla
zdrowia. Wprawdzie marsz nie dorównywał biegowi, jeśli idzie o walory zdrowotne i sportowe, ale pozwala-
ła na rozprostowanie kości, gimnastykę stawów i regulację oddechu. Poza tym w ruchu jakoś lepiej się my-
ślało.

A trzeba przyznać, że przypadek Andrzeja Dawidowskiego dawał do myślenia. Ten zbieg okoliczno-
ści, ten sam czas. to samo prawie miejsce. I osoba pijaka, brutala, który nic oszczędza własnej żony.

W hotelu czekała na porucznika wiadomość. Sierżant Sójka prosił o telefon do Krajewa zaraz po po-
wrocie.

— Jest wiadomość o Stombimierowskim. Tylko dwóch mężczyzn o takich nazwiskach istnieje w całej Polsce. Jeden to Igor Stombimierowski; zamieszkały przy ulicy Pierwszego Maja trzydzieści trzy w Gdyni, marynarz, pływa na trasie dalekowschodniej, statek „Mątwa”, wypłynął z Gdyni cztery miesiące temu. Wrócił za dwa miesiące. Drugi to Tadeusz Stombimierowski, emeryt, lat siedemdziesiąt, mieszka w Kotlarach, ulica Zwycięzców dwadzieścia jeden. Tyle na razie.

Nie było to wiele. Jeden odpada, drugi staruszek, emeryt. Może coś jednak z tego tajemniczego skrawka papieru z nazwiskiem da się wycisnąć.

Na razie sprawa Wydm i Zawidowskiego wydawała się bardziej interesująca i pilniejsza do załatwienia. Ale swoją drogą ciekawe, czy ten Stombimierowski w Kotlarach rzeczywiście prosi o odkładanie dla siebie w kiosku „Motoru”.

Jeszcze coś przyszło nagle na myśli porucznikowi.

Ta miejscowość, Kotlary. Gdzieś mu się już ta nazwa obija o uszy.

I X

W czasie przechadzki po moło krajewskim Strzałecka spotkała Józefa Szostaka.

— Ale się pan opalił, panie Józefie! — pospieszyła z wyrazami podziwu. — Niech mi pan powie, czy taka opalenizna nie może panu przeszkadzać na scenie?

— Czemu miałyby przeszkadzać? — zdziwił się Szostak.

— No, na przykład — wyjaśniła — jeśli gra pan rolę bladego.

— Bładego?

— Powiedzmy, człowieka, który wyszedł dopiero co z więzienia. Nie można wyjść z więzienia opalonym.

Szostak uśmiechnął się. Strzałecka pomyślała sobie, że właśnie uśmiech Szostaka można by nazwać bladym.

— Czasem, będąc w więzieniu, pracuje się na powietrzu. Nie jest wykluczone, że można wyjść z więzienia opalonym. Niech pani nie zapomina także o szminkach, jakie mamy do dyspozycji w teatrze.

— Tak pan mówi o tym więzieniu jakimś dziwnym tonem — powiedziała Strzałecka. — Chyba pan nie miał okazji się z nim dotychczas zapoznać?

— Cóż pani przychodzi do głowy — zachnął się Szostak. — Oczywiście że nie!

— Niech pan się nie obraza, panie Józefie — uspokajała go. — Dzisiaj nie trzeba być żadnym przestępcą, żeby znaleźć się w tym przykrym miejscu odosobnienia. Przy tak szybko rosnącej jak obecnie: motoryzacji, przy tej liczbie aut i ogromnej liczbie kierowców nie doszkolonych oraz niezdiscyplinowanych pieszych jeden nierozważny ruch może każdego zaprowadzić do więzienia!

— Dlatego ja nic posiadam samochodu.

Była artystka i diva jednego sezonu nic omieszkała natychmiast zauważyć w myśli, że fakt nieposiadania samochodu przez Szostaka nie jest z pewnością spowodowany nadmierną ostrożnością, tylko po prostu brakiem pieniędzy, wynikłym z miernych efektów pracy zawodowej.

Przy wyjściu z mola natknęli się na Wiktora Żarneckiego, który skinął im ręką z wyniosłą powagą.

— Wygląda pan na nachmurzonego — powiedziała Strzałecka.

— Nie znajduję wokół żadnych powodów do radości —? zauważył literat. — Raczej przeciwnie.

— Przywołuje pan na pamięć tę straszną tragedię? — spytała.

— Nie, nawet nie sięgam w przeszłość tak daleko. Mam na myśli obserwowane przeze mnie aktualnie objawy braku odpowiedzialności i odwagi cywilnej — powiedział.

— Brak odwagi cywilnej... Co pan ma na myśli? — spytała Strzałecka z zainteresowaniem. Ale Żarnecki machnął ręką w odpowiedzi i rzekł:

— Przepraszam, muszę jeszcze wpaść na stację, żeby przestudiować rozkład jazdy.

Kiedy odszedł, Strzałecka stwierdziła:

— Dziwnie się zachowuje... Do czego on mógł robić aluzję? Wie pan, panie Józefie, że ludzie bywają często zupełnie nieodgadnięci. Tak mało się w gruncie rzeczy znamy, wiemy o sobie tak mało. Przecież nawet taki potwór, ten zbrodniarz, który zabił naszego Borowicza, może kryć się w skórze zwykłej, poczciwej osoby, którą spotykamy i z którą przyjaźnie witamy się codziennie. Co pan o tym sądzi?

— Tak, tak — Szostak zamyślony pokiwał głową.

— Przecież my nic nie wiemy i obawiam się, że równic mało wie milicja. A może Borowicz, miał przy sobie jakąś większą sumę pieniędzy albo cenne klejnoty? Może ktoś z mieszkańców „Marioli” dowiedział się o tym i tak się złożyło, że cierpiał właśnie z powodu dotkliwych niedoborów finansowych? My oczywiście mamy swoją pracę, zarabiamy, al» weźmy, dajmy na to, Żarneckiego. Fakt, że jest literatem i że nawet należy do związku, nie przynosi sam przez się żadnego dochodu. Podobno kiedyś coś tam pisał, nikt z nas bliżej nic ma o tym pojęcia, ale czy zdziwiłby się pan, gdyby się okazało, że Zamecki od trzech lat nie zarobił ani grosza? Ja bym się nie zdziwiła!

— Nie widzę powodów, dla których Wiewiórski miałby go trzymać w „Marioli” za darmo — odparował Szostak.

— Nic zdaje pan sobie sprawy, jak różne bywają układy, które łączą ludzi — snuła swe przypuszczenia dalej. — Może robią razem jakieś ciemne interesy? Wiewiórski nie ma według mnie wyglądu świętego Franciszka z Asyżu.

— Wygląd o niczym nie świadczy — mitygował swą rozmówczynię Szostak. — Poza tym sama sobie pani zaprzecza. Gdyby Żarnecki robił ciemne interesy, nie cierpiałby na brak gotówki.

— E, ja mówię poważnie, a pan sobie żartuje. Przecież ciemny interes może się nie powieść — tłumaczyła, gdy znaleźli się już w pobliżu „Marioli”.

Na schodach od kuchni stał sierżant Sójka i rozmawiał z pod kuchenna Zuzią,

— Dużo roboty?

— Nie narzekam...

— Niech się pani pocieszy — mówił sierżant — koniec sezonu, odpoczynek za pasem.

— Mnie tam zawsze robota znajdzie...

— Łatwiej byłoby pracować — kontynuował sierżant — i robota szłaby wszystkim składniej, gdyby naokoło byli sami solidni i sumienni ludzie. Tacy dostawcy choćby. Potrafią podobno sprzedać wóz kartofli, na wierzchu ładne, a do środka, pod spód, napchać zgniłych. Niedawno przecież wy też mieliście dostawę kartofli.

— Ale te były sztuka w sztukę jak cuda — zapewniła go dziewczyna - Amerykany extra wybór.

Sierżant pokiwał głową.

— Nie będę przeszkadzał, pani Zuziu — pożegnał się i klonową ścieżką, biegnącą koło werandy, ruszył ku wyjściu. Zatrzymał go Żarnecki

— Kiedy zjawi się porucznik? — spytał.

— Chyba będzie niedługo. Może jeszcze dziś, może jutro. Wic pan, jak to jest w naszej służbie.

— Jesteście już na tropie?

Sierżant Sójka rozłożył ręce szerokim gestem. Równic dobrze mógł on oznaczać, że schwytanie sprawcy jest już kwestią godzin, jak i bezradność.

— Bo ja właśnie chciałbym... — wahał się Żarnecki. — Chciałbym porozmawiać z porucznikiem... Podzielić się uwagami... To jest właściwie powiadomić go o pewnej... o pewnym spostrzeżeniu, jakie zrobiłem tego krytycznego ranka. Mógłbym zaczekać na porucznika, ale właściwie, myślę sobie, nie będzie żadnej różnicy, jeśli panu to powiem.

— Oczywiście, nie ma przyczyny, dla której miałoby to robić jakąś różnicę — przytaknął sierżant. Widząc jednak brak zdecydowania Żarneckiego, dodał: — Jedyną różnicę może stanowić fakt, kiedy się powie to, co się ma do powiedzenia, jeśli rzecz jest rzeczywiście ważna. Lepiej bowiem wcześniej niż później.

— Właśnie — stwierdził z zakłopotaniem Żarnecki. — Pańska uwaga pogłębia w pewnym sensie moje wątpliwości. Można mieć niekiedy pretensje do kogoś, że nie powiedział o czymś wcześniej, choć skłoniły go do tego szlachetne pobudki. Na przykład, wierząc w czyjąś uczciwość, nie chciał sprowadzić na kogoś kłopotów...

— Panie Żarnecki. nic bawmy się w ciuciubabkę. Potem będziemy filozofować, a teraz niech pan mówi o co chodzi, jak mężczyzna mężczyźnie.

— Trudno — zgodził się Żarnecki — powiem, choć z opóźnieniem. Wahałem się, nie może to zrozumiecie. Otóż tego runka, kiedy milicjanci przeszukiwali ogród, ja wyglądałem oknem i zobaczyłem, jak je-

den 7. nich znalazł wśród kwiatów na klombie właśnie pod moim oknem taki przedmiot, wyglądający jak kawał żelaznego draga.

— No i co? — naciskał Sójka.

— Więc przedtem, zanim jeszcze przyjechała milicja, a już obudziło nas pogotowie, ja również wyjrzałem oknem akurat w momencie, kiedy jakaś ręka wyrzuciła to żelazo z pokoju znajdującego się pod moim.

— Pokój pod panem zajmuje Szostak?

— Tak. Dlatego tak długo wahałem się, czy powiedzieć o tym fakcie, bo mógłbym mu wyświadczyć fatalną przysługę. Ja przecież widziałem tylko rękę, która mogła należeć do kogoś innego.

— To są wszystko szczegóły, które powinien pan nam zostawić — zbeształ go sierżant. — Milicja jest od tych spraw. Obowiązkiem obywatela jest powiedzieć wszystko, co wic w-związku z tak poważną sprawą. I nic zatajać niczego!

— Czy mogę mieć z tego jakieś przykrości, że nie wyjawilem faktu, kierując się zresztą dobrym sercem przecież... — martwił się Żarnecki. — Wreszcie jednak, choć z opóźnieniem, w trosce o dobro śledztwa zeznałem...

— Myślę, że nie będziemy mieć do siebie żadnych pretensji — uspokoił Żarneckiego sierżant i podał mu rękę na pożegnanie.

Chwilę potem pukał do pokoju Szostaka, który niedawno wrócił ze spaceru.

— Panie Szostak — powiedział sierżant. — Niech pan sobie dobrze przypomni ten ranek, kiedy odkryto zwłoki i przyjechało pogotowie oraz milicja. Czy obudził się pan wtedy przed przybyciem pogotowia?

Szostak nie potrafił ukryć narastającego zakłopotania.

— Nie — rzekł — to pogotowie, a konkretnie warkot motoru zajeżdżającego mnie obudził.

— Nic pan nie zauważył szczególnego po obudzeniu? Nic się nie zdarzyło? — pytał sierżant. — Na zewnątrz lub może w samym budynku?

— Nie, już zeznałem przecież wszystko...

— A po przebudzeniu, jeszcze przed przybyciem milicji, która zajeżdżała kilka minut po karetce pogotowia, nie wychodził pan z pokoju?

— Tak, chyba wychodziłem na chwilę do łazienki — skwapliwie przytaknął Szostak.

Milicyjny Fiat zatrzymał się przed „Rusałką” w Wydmach. Mimo napisu głoszącego, że lokal jest „restauracją — dansingiem”, była to po prostu zbita z desek i dykty buda, której ażurowe ściany nic dawały nawet osłony od podmuchów silniejszego wiatru. „Rusałka” stanowiła typowy obiekt przemysłu gastronomicznego reprezentatywny dla trendu pod hasłem „Minimum wkładu — maksimum zysku”. Jej właściciel uważał zapewne, że przy trzymiesięcznym sezonie nie warto inwestować w budę, która i tak znajdzie klientów, nic posiadających wiele możliwości do wyboru. Tym bardziej, jeśli do tańca przygrywać będzie Teksas Bazooka Band, grupa mocnego uderzenia.

— Kto tu jest właścicielem? — spytał porucznik Kaczorowski tęgiego, atletycznej budowy barmana, z kotwicą wytatuowaną na zewnętrznej części dłoni.

— Ja osobiście jestem tu wszystkim — przedstawił się tamten — barmanem, właścicielem, kucharzem, nawet często wyręczam funkcjonariuszy porządku publicznego — dodał z poufałym uśmiechem.

— Zna pan Andrzeja Zawidowskiego? Zdaje się, że pracuje w orkiestrze, którą pan zatrudnia.

— Andrzej Zawidowski? — zastanowił się, jakby sobie przypominając. — Tak, to będzie „Świder”. Ustawiał w orkiestrze urządzenia elektryczne. Ale nie ma ich już. Dwa dni temu wyjechali. Tu skończył się sezon, panie poruczniku, w większej miejscowości klient się jeszcze znajdzie nawet do potowy września.

— Dokąd pojechali, nie wic pan?

— -Nie mam pojęcia — zapewnił restaurator.

— Niech mi pan powie, panie... — zaczął porucznik.

— Walczak — przedstawił się atleta.

— Niech mi pan powie, panie Walczak, czy zadowolony j>an był z pracy tej tam... Teksas Bazooka Band? Jakichś rozróbek nic było?

— Cisza jak makiem zasiał — zapewnił Walczak. -? Gdzież ja bym dopuścił do rozróbki!

— A Zawidowski — pytał dalej porucznik — co robił po pracy? Siedział na miejscu w Wydmach, czy może gdzieś jeździł?

— Chyba siedział na miejscu, stale go tu widziałem po pracy, wic pan, jak jest w tym zawodzie, raczej spał do południa, potem chodził na plażę. A czy coś się stało?

— Ciągłe się dzieją różne rzeczy — rzekł Kaczorowski. — Jakby pan coś wiedział ciekawego, to chyba by mi pan powiedział? Mam rację, czy nie?

— Jasne, że bym powiedział — Walczak uderzył się w piersi. — Tylko że nic nie wiem, mam tyle roboty! Szczególnie jak ruch w interesie, to całą uwagę poświęcam, by usłużyć klientom, żeby dobrze zjedli, zabawili się i byli zadowoleni.

— Dziękuję za szczerą rozmowę, panie Walczak — pożegnał go porucznik. — A jeśli chodzi o pański wzorowy stosunek do klientów, powinien pan dostać jakiś dyplom pochwalny. Nieczęsto spotyka się podobną sumienność w pańskim zawodzie.

Milicyjny Fiat zdążył ujechać może trzysta metrów od „Rusałki”, gdy jakaś dziewczyna przy drodze podniosła w górę rękę.

— Podwieźć gdzieś panią? — spytał porucznik. Dziewczyna wsiadła bez słowa. Była ładna, miała inteligentną, sympatyczną twarz i wydawała się trochę zdenerwowana. Porucznik ruszył naprzód.

— Słyszałam przez ścianę, o co się pan pytał Walczaka — powiedziała — i jaką odpowiedź pan usłyszał. Wie pan, ja tam pracowałam przez dwa tygodnie, teraz byłam, żeby odebrać resztę należności i zobaczyć się z koleżanką, która pomaga jeszcze w kuchni. Panie poruczniku, co ja tam przeżyłam, tego bym już nigdy nie chciała z powrotem przeżyć. Jestem studentką i chyba raz na zawsze odechce mi się dorabiać kelnerowaniem, podczas wakacji.

— Wyrządzili pani jakąś krzywdę?

— Nie udało im się — wyznała — ale cały lokal z Walczakiem na czele i zespołem Teksas Bazooka Band to okropna banda, kompletny margines społeczny! Jeśli zaś chodzi o tego Zawidowskiego, którego pan wspominał, to jeden z najgorszych chuliganów. Kiedy się napił, zachowywał się jak szaleniec, z tym, że cały zespół był właściwie non stop pijany. Jakie brewerie oni wyprawiali? Awantury prawie co noc, raz pobili jakiegoś gościa, który zwrócił im uwagę, tak że tamten ledwie na własnych nogach poszedł do domu. Ale najważniejsze, o co pan pytał zresztą specjalnie Walczaka, to fakt, że Zawidowski wcale nie wyjechał dwa dni temu, tylko zniknął już kilka dni przedtem, po okropnym pijaństwie i dzięki scenie, jaką urządził.

Porucznik zatrzymał samochód obok kawiarni „Negra”, znajdującej się tuż koło szosy.

— Pani pozwoli, że zaproszę ją na kawę — powiedział - lepiej będzie nam się rozmawiało pod kolorowym parasolem. — Kiedy podano już filiżanki, porucznik zapytał:

— Jak doszło do tej, jak to pani nazywa, dzięki sceny i jak się ona odbywała?

— Zawidowski nie miał specjalnie dużo roboty przy tej aparaturze, a w ogóle cały zespół nie przejmował się zbytnio pracą. Ciągłe robili przerwy, czasem godzinę albo nawet więcej. Wtedy grali w karty. W pokera. Otóż właśnie tego wieczoru mocno już pijany Zawidowski przegrał jakąś większą sumę.

— Tego wieczoru... — przerwał Kaczorowski. — Konkretnie, jaka to była data, jeśli pani pamięta?

— Zaraz — zastanowiła się — to był ostatni dzień mojej pracy w „Rusałce”, dwudziestego piątego miałam już nie przyjść, czyli to był dwudziesty czwarty.

Kaczorowski cały zamienił się w słuch.

— Jeśli pan tak lubi dokładność, dodam jeszcze — opowiadała dziewczyna — że awantura zaczęła się chyba o siódmej wieczorem. Zawidowski wstał od stołu, grali właśnie na zapleczu. Zaczął rzucać kartami i wykrzykiwać, że to ten przeklęty aktor przyniósł mu pecha, że zawsze coś się nieprzyjemnego dzieje, jak on wejdzie mu przed oczy. „Stuknę go — wołał — jak pragnę wolności — stuknę go”. Potem wypił jeszcze trochę wódki, wsiadł na motor i pojechał.

— Słyszała pani wyraźnie, jak wołał „aktor”?

— Absolutnie wyraźnie. Nawet bardzo mnie to zaintrygowało, kogo on może mieć na myśli.

— Co się potem stało?

— Nic. Więcej się nie pokazał. Zniknął. Ale ja słyszałam tu od miejscowych, że w Krajewie zabito jakiegoś aktora, więc skojarzyłam sobie określenie „aktor” z tym wydarzeniem i zastanawiałam się właśnie, czy powinnam opowiedzieć o tym milicji. Na szczęście pan pojawił się na horyzoncie.

— Najwyższy czas, żebyśmy się sobie przedstawili — rzekł porucznik — nazywam się Zbigniew Kaczorowski, jestem porucznikiem MO i zajęcia zaprowadziły mnie właśnie w tej okolicy.

— Hanka Kryńska — powiedziała dziewczyna. Kaczorowski, wyjmując notes, stwierdził w duchu, że Hanka Kryńska łatwo mogłaby zyskać tobie jego sympatię.

— To jest bardzo ważne, co pani mi powiedziała i może mieć dla nas duże znaczenie, dlatego muszę zanotować dokładnie pani dane personalne.

— Będę występowała jako świadek?

— Na razie nie wiadomo. Z całą tylko pewnością mogę pani powiedzieć, że już w najbliższym czasie pan Walczak będzie czuł się bardzo głupio i jego marzeniem będzie, żeby zapaść się pod ziemię.

— Aha — dorzuciła Hanka Kryńska. — Wiem, że ta orkiestra gra teraz w Konarzewie. Może Zawadowski tam do nich dołączył?

XI

Porucznik Kaczorowski zajechał samochodem tak blisko wejścia do „Rusałki”, jakby umyślnie chciał zatarasować drogę.

— Coś jeszcze? — zaniepokoił się Walczak.

— Tak — odparł Kaczorowski — będzie pan musiał pojechać ze mną.

— Osobiście? — zdziwił się restaurator.

— A czemu nie? — odpowiedział przedstawiciel władzy pytaniem na pytanie. Kiedy tamten, ociągając się, sięgał po marynarkę, porucznik dodał. — Ma pan komu przekazać wszystkie sprawy związane z prowadzeniem tej budy?

— Po co miałbym przekazywać? — w głosie Walczaka pojawiła się nuta trwogi.

— Nie wiadomo, jak długo pan u nas zostanie — spokojnie tłumaczył porucznik. — Jeśli prokurator da sankcję, to do wyroku na pewno.

— Do jakiego wyroku? — trwoga restauratora przerodziła się w panikę.

— Do wyroku za pomoc udzieloną w zabójstwie.

— W zabójstwie? — Walczak zaśmiał się nerwowo. — Pan porucznik raczy żartować. Ja miałbym pomagać w zabójstwie? Ja?

— Sam się temu dziwię. A co do żartów, to nie mam na to ani trochę ochoty. Pracy dużo. Ciężka i nieprzyjemna. Z różnymi typami muszę się stykać. Wolałbym odpocząć trochę. Ale pan mi nic daje. Wprowadza w błąd przedstawiciela władzy, żeby skierować śledztwo na fałszywy trop. Oślania pan Zawidowskiego, bo to kumpel, czy ma pan w tym zabójstwie jakiś własny udział.

— W jakim zabójstwie? — Walczak zbladł i zaczęły mu drżeć wargi.

— Nie słyszał pan o morderstwie dokonanym na aktorze, Romanie Borowiczu? — pytał Kaczorowski. — Nie wspominał o nim przedtem Zawidowski? Dlaczego pan nie chce nic mówić?

— Wszystko panu powiem — rzekł właściciel „Rusałki”, ciężko wzdychając. — Prowadzenie takiego lokalu to okropną harówka, po prostu męczarnia, kiedy ma się do czynienia z bandą łobuzów i złodziei. Wszyscy chcą tylko kraść, nikomu nie chce się pracować. I w dodatku, na to wszystko, zjeżdża ta banda pijaków w postaci Teksas Bazooka Band. Cóż oni tu wyprawiali, widzi pan, że mój lokal nic ma zbyt solidnej konstrukcji, więc przez cały czas tylko drżałem, że zostanie zrównany z ziemią od ich nieustających bijatyk i awantur. A przecież nie mogę być z nimi przez cały czas, tu nie ring, tylko restauracja, muszę dbać o gości, pilnować, żeby otrzymali to, co zamówili, żeby jakoś posiłku odpowiadała recepturze i gramaturze, żeby alkohol nie został podmieniony, sfalszowany ze zlewek, by należność zainkasowano prawidłowo, przy tym jeszcze użerać się z klientami, którzy popili się i wywołują awantury. Mając to wszystko na głowie, mogę, oczywiście, przeoczyć niejedno...

— Do rzeczy — przerwał porucznik — co działo się w „Rusałce” po południu w dniu 24 sierpnia? Co "pan wie o Zawidowskim i Borowiczu?

— O Borowiczu kompletnie nic nie wiem, przysięgam na matkę i ojca — zaklinał się Walczak. — Tylko tyle, że „Świder”, to znaczy pan Zawidowski. wspominał coś, że na spacerze w kierunku Krajewa Morskiego, gdzie udał się tego dnia przed obiadem, spotkał pana Borowicza i że czasem ma chętkę mrzeć tamtemu nosa za wtrącanie się w cudze sprawy.

— Rozmawiali ze sobą?

— Nie, z tego, co mówił Zawidowski, wynikało, że Borowicz go wcale nie widział.

— Co było potem, po południu?

— Grali w pokera na zapleczu, w przerwie, kiedy orkiestra jadła, a właściwie piła. Ja zabraniałem i jednego, i drugiego, to jest gry w karty i picia alkoholu w godzinach pracy, ale kto się mnie słuchał! Byłem wtedy na sali, dokładnie nie znam szczegółów, ale wiem, że Zawidowski po pijanemu przegrał jakąś większą sumę i potem zaczął krzyczeć, że to Borowicz go tak zapeszył, a wkrótce w ogóle zniknął, poszedł gdzieś, czy pojechał i więcej go nie widziałem.

— Czy nie mówił, że chce stuknąć tego „aktorusa”?

— O, nie! — zaprzeczył Walczak. — To znaczy, może mówił, ale tego nie słyszałem, inaczej natychmiast powiedziałbym o tym panu porucznikowi bez namysłu!

Kaczorowski miał wątpliwości, czy tak by rzeczywiście się stało. Nie podzielił się jednak nimi z Walczakiem. Spytał jeszcze tylko:

— Gdzie oni teraz grają?

— W Konarzewie — przypomniał sobie błyskawicznie Walczak — w „Meduzie” konkretnie.

— A pan niech się pilnuje - pożegnał Walczaka Kaczorowski. — Może nam pan być jeszcze potrzebny.

Do Konarzewa było około dwudziestu pięciu kilometrów niezłą szosą, prowadzącą przez sosnowy las. Od czasu do czasu pojawiała się przerwa w zalesieniu, przez którą wyglądało szaroniebieskie morze. Kaczorowski spoglądał w jego kierunku z zazdrością, gdy na białych grzbietach fal odcinały się ruchome figurki kąpiących się ludzi.

W „Meduzie” zastał porucznik grupę mężczyzn, wyglądających na miejscowych rybaków, oraz kilku młodych ludzi, raczących się piwem. Cały prawie stół pokrywały stojące butelki, co świadczyło widocznie o dużym pragnieniu, a także swoistej brawurze pijących. Jeden z nich miał na sobie koszulkę z napisem: Texas Bazooka Band.

Porucznik odwołał go od stolika. Młodzieniec wstawał bardzo powoli i niechętnie, obrzucając intruza pogardliwym spojrzeniem, gdy jednak znaleźli się przy pustym stoliku w rogu sali i Kaczorowski pokazał amatorowi piwa legitymację służbową, bigbitowiec wygrzeczniał i otrzeźwiał w oka mgnienia. .

— Potrzebny mi jest zaraz Andrzej Zawidowski - rzeki porucznik. — Gdzie mam go szukać?

— Nic wiem — powiedział młodzieniec. — Powinien zjawić się tu niedługo.

Więc jednak dołączy! do zespołu — pomyślał

Kaczorowski. .

— Kiedy zaczęliście grać w „Meduzie”? — zapytał.

— Przyjechaliśmy tu dwudziestego siódmego sierpnia rano.

— Zawidowski zniknął w „Rusałce” wieczorem dwudziestego czwartego. Kiedy pojawił się tutaj w Konarzewie?

— Tego dnia, co myśmy przyjechali, wieczorem.

— Czy mówił, co się z nim działo?

— Nie, tylko był jakiś zgaszony. Nic nie chciał gadać. To przygaszenie znać było nawet przez alkohol, bo przyjechał tu na cyku oczywiście. Wie pan. „Świder” rzadko bywa trzeźwy.

Kaczorowski pomyślał, że to samo dałoby się zapewne powiedzieć o jego rozmówcy. Nagle w drzwiach knajpy pojawił się chudy, zezowaty młodzieniec w wiatrówce i dzinsach.

. — O ma pan „Świdra” — powiedział siedzący przy poruczniku.

Kaczorowski wstał od stolika i ruszył w kierunku Zawidowskiego, który zatrzymał się i jakby chciał w pierwszej chwili się cofnąć, ale może uznał, że jest już za późno.

— Andrzej Zawidowski? — spytał porucznik.

— Tak — odparł tamten.

— Proszę siadać — Kaczorowski wmanewrował Zawidowskiego tak, by znalazł się w rogu sali, co utrudniałoby mu ewentualny odwrót.

— Gdzie pan był od godziny dziewiętnastej w dniu dwudziestym czwartym sierpnia do dnia dwudziestego siódmego?

Zawidowski uśmiechnął się ze źle ukrywaną niechęcią i cieniem triumfu.

— Nagadali panu... Ale ja mam alibi murowane. Pańskich kolegów stawiam na świadków.

XII

Podczas gdy porucznik Kaczorowski zajęty był szukaniem Andrzeja Zawidowskiego w nadmorskich spelunkach, w innej części kraju, dość

odległej od wybrzeża, doszło do wypadku drogowego. Kierowca ciężarówki Star z nic znanych powodów stracił panowanie nad kierownicą i uderzył zderzakiem oraz prawym błotnikiem w stojący przy szosie cementowy murek, stanowiący część składowi przebiegającego pod drogą urządzenia wodno-melioracyjnego. Rezultatem wypadku był zgięty zderzak, mocno wgnieciony błotnik, rozbity reflektor i rana kierowcy; na szczęście niezbyt groźne przecięcie skóry na czole. Rannego opatrywał właśnie lekarz przybyłego na miejsce pogotowia rabunkowego. Orzekł, że nie musi zabierać go nawet do ambulatorium; po nałożeniu bandaża niefortunny kierowca będzie mógł sam udać się do domu. Kiedy lekarz nakładał opaskę na rozbite czoło, ranny, mocno wytracony z równowagi doznany szokiem, pociąga! nerwowo dym z trzymanego w wargach papierosa i podnieconym głosem tłumaczył plutonowemu Służby Ruchu Drogowego z pobliskiej Komendy Miejskiej w Zambrowie: -

— Wie pan, jak to jest, panie władzo, człowiek zmęczony, tyle kilometrów szosy przekreślił już tego dnia, a tu nagle pies wypada na jezdnię, wielki jak krowa. Nie chcę przejechać zwierzaka, bo żal mi go, zresztą olbrzym taki, że mogę wóz uszkodzić, więc zaraz kierownicą obrót w lewo, hamulec, obrót w prawo, ale cóż, wpadłem niestety w poślizg i bach w ten nieszczęsny murek.

Plutonowy Zajączkowski słuchał uważnie, notował coś, potem mierzył odległości, ślady hamowania i kiwał głową ze zrozumieniem. Nie przeszkodziło mu to jednak wspiąć się na stopień Stara i poruszać ręką kierownicą samochodu.

— Człowieku! Ale ma pan szczęście nieprzeciętne! Zamierzał pan przecież popełnić samobójstwo lub też zabić kogoś na drodze i iść na parę lat do więzienia, a tu tymczasem wszystko kończy się tak ulgowo! Lekka rana, kolegium orzekające i to cała historia.

— Co pan mówi, panie władzo? Jakie samobójstwo chciałem popełnić? Kogo zamierzałem przejechać? Skąd pan wziął to wszystko?

— Stąd — plutonowy wskazał powtórnie w stronę kierownicy Stara. — Przecież taki luz to murowany wypadek, o tym chyba pan powinien wiedzieć jako kierowca, nie? Czy w waszej bazie nic ma kontrolerów stanu technicznego wozów? Tak was dyspozytor wypuszcza i pan zgadza się z takim luzem w kierownicy wyjeżdżać w drogę?

— Co ja na to poradzę, panie władzo — tłumaczył się kierowca. — Kontrolerzy byli, ale ich zwolniono, bo zbyt wiele wozów kwestionowali i nie można było zrobić planu przewozów. A luz w kierownicy miał być skasowany przedwczoraj, wczoraj, i tak z dnia na dzień odkładano ten ; remont, bo ciągle mało samochodów, a na transport dyrektorzy naciskają, bo bez tego wszystko wysiada. Więc, myślę sobie, tak wolniutko może się jakoś doturlam tam i z powrotem, gdy nagle ten pies...

— Psa niech pan zostawi — rzekł plutonowy ogarniając, wzrokiem gromadę gapiów, która zasiadła z obu stron szosy w rowach. — Widział ktoś jakiegoś psa? Kto widział, jak doszło do tego wypadku?

Ale okazało się, że każdy nadszedł dopiero co i nikt' nie był świadkiem zderzenia Stara z murkiem, również psa nie zauważył nikt z obecnych.

— No widzi pan, nikt nie widział — stwierdził plutonowy. — Ale mówię panu, że i tak skończyło to się niegroźnie. Wykręci się pan dwoma tysiącami za prowadzenie samochodu z niesprawną kierownicą, dyspozytor może dostać więcej. Nie wiem, czy prokurator nie zechce skierować sprawy do sądu, bo to już miarka się przebrała, za dużo jest takich wypadków.

Pogotowie odjechało. Gapie powoli zaczęli się rozchodzić.

— Co zrobimy z tym wozem? — zastanawiał się plutonowy. — Trzeba go doprowadzić na posterunek, konieczna jest ekspertyza rzeczoznawcy...

— Panie plutonowy, a może odegniemy tę blachę i ja go wolno poprowadzę? — zaproponował kierowca.

— Nie, za żadne skarby — nie zgodził się milicjant. — Z komendy zadzwonimy po pomoc drogową i ona go do nas przyholuje. Pan jest ranny, doznał pan szoku, nigdy w życiu nie pozwoliłbym panu prowadzić wozu — plutonowy podszedł do Stara. — Zresztą takiej grubej blachy ręką pan nie odegnie. Trzeba ciągnąć flaszencugiem, ale to już sprawa fachowców. Niech pan spojrzy, z jaką siłą rąbnął pan w ten murek. Trzy czwarte kompletnie rozwalone. Za to też ktoś będzie musiał zapłacić, a nie wykluczam, że pana obciążą całą sumą. To jest pech!

Plutonowy dotknął nogą kawałków leżącego gruzu.

— O, widzi pan, on dalej się jeszcze sypie, porządnie go pan nadwreżył, Nagle wzrok milicjanta utkwiał w jakimś błyszczącym przedmiocie, który ukazał się spod kawałów rozłupanego cementu. Plutonowy Zajackowski uchwycił palcami za odsłonięty przedmiot i uwalniając od trzymających go jeszcze odłamków betonu, jednym ruchem wy dobył na zewnątrz.

Był to nieduży zwój błyszczącej jak srebro blachy, długości około dwudziestu centymetrów, grubości chyba pięciu i ważący w przybliżeniu kilogram. Przy obrzeżu zwoju widać było wytłoczony napis: „*Steve Rowling. Liverpool*”

„Co to może być?” — zastanawiał się plutonowy. Jeszcze raz przyjrzał się rozbitemu murkowi. Był ot zbudowany z cementu, a raczej zaprawy betonowej, lanej w szalowanie z desek. Można to było poznać jeszcze po odciskach desek w murze, z odbitymi słojami i sękami. „Jak to mogło dostać się do tego - betonu?” — przez pewien czas obracał zwitek blachy w rękę, po czym zwrócił się do kierowcy:

— Zostanie pan przy wozie i poczeka na pomoc drogową. Jutro zgłosi się pan do komendy w Zambrowie w celu podpisania protokołu.

Plutonowy usiadł za kierownica Piata ze znakami milicyjnymi i ruszył przed siebie. Ujechał nie daleko, może dziesięć kilometrów, kiedy zauważył grupę robotników budujących parking w lesie obok szosy. Wsiadł z auta i spytał któregoś z nich o mistrza.

— To ten z blond włosami w pomarańczowym kasku — odparł zapyłany.

— Znalazłem ten kawałek metalu w rozbitym betonowym murku przy szosie — przedstawił sprawę mistrzowi milicjant — i chciałbym właśnie zapytać, jak taka rzecz mogła się tam dostać. Czy na przykład ten przedmiot mógł być przywieziony ze żwirem lub cementem?

Zapyłany obracał w ręku zwój blachy i myślał.

— Przywieziony mógł być ze żwirem, z cementem to raczej, nie. bo cement dostarczany jest w workach, ale jak mógł dostać się do wnętrza? Hmm... Znalaziono to już w zastygłym betonie?

— Tak. W gotowym betonowym murku.

— Sam się zastanawiam. Żwir się na ogół przesiewa, potem sypie do betoniarki, bo cement mieszamy w betoniarce na miejscu. To by przede wszystkim mc przeszło przez betoniarkę. Zepsułaby się, w każdym razie stanęła, złamałoby się mieszadło.

— Jaki więc z tego wniosek?

— Ktoś to musiał wrzucić w ciekły beton, ale oddzielnie.

Właśnie. Plutonowy Zajączkowski może nie poświęciłby tyle uwagi całej tej sprawie, gdyby ten błyszczący zwój blachy nie skojarzył mu się, co może wydać się zabawne, z gangsterskim filmem, jaki widział w kinie niedawno. Gangsterzy nie chcąc pozostawić żadnego śladu po zamordowanym i pragnąc uniemożliwić jednocześnie odnalezienie jego zwłok, wrzucili je do betonowego właśnie filaru mostu. Dlatego pierwsza myśl plutonowego, gdy ujrzał ów przedmiot wyłaniający się z betonowej skorupy było, że może i w tym wypadku zależało komuś, by znikł po tym wszelki ślad. Zakładając oczywiście, że znalezisko posiada jakąś wartość i znaczenie dla kogokolwiek. A za tym przemawiałaby odcisnięta nazwa angielskiej fumy.

Podziękował za informację, wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Zambrów a. Wjeżdżając już prawie do miasta, zatrzymał wóz przed domkiem, który w lej. okolicy prezentował się wyjątkowo okazale, zasłużywszy sobie u okolicznych mieszkańców na miano willi. Wyróżniał go nie tylko świeży, różowy tynk szlachetny, ale też misternie wyczelowane w żelaznych prętach ogrodzenie oraz fantazyjne zawiasy i klamki przy drzwiach. Na ogrodzeniu widniał kolorowy szyld: „Józef Gmochowski, metaloplastyka, świadczy usługi dla ludności”. Gmochowski był kolegą szkolnym Zajączkowskiego i teraz również spotykali się często, chodząc wspólnie na ryby.

Na szczęście Gmochowski był w domu.

— Zobacz to, Józiu — spytał przybyły j powiedz mi łaskawie, co to może być.

Mistrz metaloplastyki wziął do ręki, powążył, potem wyjął z szuflady pilnik, podpiłował brzeg, wreszcie zapalił palnik i liznął blachę ogniem.

— To jest lut srebrny — oznajmił Gmochowski.

— Do czego się go używa?

— Do zespalania różnych metali, na przykład w robocie jubilerskiej, w wyrobie ozdób metalowych lub przemyśle. Tam już nie wiem dokładnie do czego go używają, ale zastosowanie ma to samo.

— Ile może być wart taki kawałek? — zainteresował się plutonowy.

— Ma chyba kilogram. Jakieś trzy tysiące złotych.

Zajączkowski podziękował. Przypomniał o niedzielnym spotkaniu nad rzeką i zajął miejsce w samochodzie.

Po co ktoś topił w cemencie przedmiot, za który można było dostać trzy tysiące złotych? Był to czyn, który jeśli okazałby się nieprzypadkowy — musiał budzić nieufność. Zupełnie jak w kasie nadwyżka gotówki. W takich wypadkach dokładniejsza kontrola zawsze prawie wykrywa manko.

XIII

Informacje, które otrzymał porucznik Kaczorowi i z Kołobrzegu, potwierdziły zeznania Andrzeja Zawidowskiego. Został on zatrzymana przez patrol milicji drogowej w dniu dwudziestym czwartym sierpnia o godzinie dziewiętnastej trzydzieści, gdy jechał na motocyklu w stanic wskazującym na spożycie większej ilości alkoholu. Z miejsca zatrzymania, które oddalone było około kilometra od Wydm, przewieziono go do Kołobrzegu w celu pobrania krwi do analizy na zawartość alkoholu. Zawidowski zatrzymany został w areszcie na okres czterdziestu ośmiu godzin. Próba wykazała aż 2,1 promila alkoholu we krwi badanego. Po sporządzeniu protokołu i wniosku na kolegium orzekające zatrzymanego zwolniono. Miał więc jeszcze kilkanaście godzin na uczczenie swego zwolnienia nową porcją wódki i piwa, by zjawić się w swym przybyłym do Konarzewa zespole wieczorem dwudziestego siódmego. Zawidowski musiał zostać wykreślony z listy podejrzanych.

Samochód, prowadzony przez Kaczorowskiego, wjechał w uliczki Krajewa. Na pierwszy rzut oka uderzała różnica między ich wyglądem teraz i kilka dni przedtem, zniknęła bowiem spora liczba przechodniów wczasowiczów. Co więcej, nie było także grup wycieczkowych, które tak duże piętno wywierają na naszym krajobrazie.

Na posterunku MO porucznik spotkał się z sierżantem Sójką. Po wymianie informacji obaj udali się do „Marioli”. Uzgodnili, że należało jelicze porozmawiać z Janem Kosmałą i Józefem Szostakiem. Po drodze Kaczorowski uderzył się nagle w czoło.

— Wiem! — zawołał. — Wiem, przy jakiej okazji obila mi się o uszy nazwa miejscowości Kotlary. Przecież stamtąd pochodzi Kosmała!

.Gdyby strzępek pisma przywieziony został do Krajewa przez Kosmałą przypadkiem, razem z jego rzeczami, po czym w jakichś okolicznościach został wyrzucony na teren ogrodu, jego wartość jako śladu

prowadzącego do przestępcy stałoby się niestety równa zero. Wszystko przemawiało niestety za takim wyjaśnieniem sprawy.

— Panie Kosmala — zaczął porucznik, kiedy wszyscy razem zasiedli za stołem w pokoju tego ostatniego — proszę nam powiedzieć, jakie były przyczyny kłótni z Borowiczem, która miała miejsce przed południem, w przeddzień znalezienia zwłok aktora. Mówił pan, zdaje się, że zbeształ go pan? Za co?

— Pan Borowicz — rzekł Kosmala mimo że był człowiekiem ze wszech miar godnym szacunku, miał jedną poważną wadę. Był mianowicie wesołkiem, o co zresztą nie mógłbym mieć do niego pretensji, gdyby żarty, które robił, nie odbywały się najczęściej moim kosztem. Pozwalał sobie na jakieś sztubackie kawały, przedrzeźniał mnie i małpował z jeszcze większą energią, kiedy stwierdził, że mnie to drażni i złości. Dlatego w końcu nie wytrzymałem i zwróciłem mu uwagę z całym naciskiem i w sposób dość ostry.

— Tak — przyjął do wiadomości to wyznanie Kaczorowski. — A co było między wami po południu? Z jakiego powodu Borowicz zapewniał pana, że nikt się od niego niczego nie dowie?

Kosmala skrzywił się niechętnie i milczał przez chwilę.

— Ktoś wam powiedział coś takiego? Żadnej sprawy między nami nie było, a te słowa prawdopodobnie dotyczyły jakiejś osobistej historii Borowicza. Nic słuchałem wtedy zbyt uważnie, co mówił.

— Panie Kosmala — wtrącił się sierżant — zdaje pan sobie sprawę, że chodzi o poważną rzecz. Niedługo potem Borowicz został zamordowany.

Kosmala poprawił się na krześle. -- No, dobrze, powiem wam, aczkolwiek bardzo niechętnie wtrącam się w cudze sprawy, -dotyczące osób, z którymi mieszkam pod jednym dachem. Nie lubię wyręczać władz śledczych, bo liczę, że same one wystarczająco dobrze dadzą sobie radę. Więc ta wypowiedź Borowicza dotyczyła Wiewiórskiego.

— W jakim sensie? — pytał porucznik.

— Opalając się gdzieś w zaroślach, na wydmach. Borowicz podsłuchiwał przypadkowo rozmowę Wiewiórskiego z jakimś nie znanym mężczyzną, który oferował mu towar, chyba były to konserwy, bo mówił o puszkach, za które Wiewiórski godził się dać pół ceny. Tak właśnie wyraził się, pół ceny. Tamten chciał więcej, ale Wiewiórski był uparty, mówił, że musi dobrze pokręcić głową, żeby pozbyć się tego jeszcze przed wieczorem, bo nie chce trzymać towaru w domu.

O co chodziło konkretnie, z rozmowy nie wynikało, ale wszystko przemawiało za tym, że towar musi pochodzić z kradzieży albo przemytu. Nad tym właśnie zastanawiał się Borowicz konkludując, że od niego milicja się jednak niczego nie dowie, bo nie czuje w sobie powołania śledczego, a poza tym głupio byłoby mu obciążać osobę, którą zna tyle lat i z której świadczeń, choćby sownie opłacanych, tak często korzysta. To wszystko.

— Proszę nam powiedzieć - porucznik zajrzał do notesu czy nazwisko Stombimierowski coś panu mówi? Tadeusz Stombimierowski?

— Dziwne nazwisko - stwierdził inżynier. — Nie, z całą pewnością słyszę je pierwszy raz w życiu.

— Przy jakiej ulicy pan mieszka w Kotlarach?

— Przy Partyzantów.

— Daleko to od ulicy Zwycięzców?

— To równoległa ulica, trzecia z kolei.

— Czy jest pan czytelnikiem pisma „Motor”?

— Nie — Kosmala nie ukrywał swego zdziwienia. — Nie interesuje się tą tematyką. „Motor” miałem w rękach ostatnio pięć lat temu u dentysty.

— Mogłoby to wskazywać — zauważył sierżant Sójka, kiedy opuścili już pokój Kosmali — że Wiewiórski czekał tego wieczora na owego dostawcę, a potem miał robotę związaną z pozbyciem się towaru. Podczas przeszukiwania „Marioli” w dniu następnym niczego nie znaleziono.

— W ten sposób wyjaśniona zostałaby sprawa tych rzekomo zgnitych kartofli, które Wiewiórski i Świńska musieli przebierać krytycznego wieczoru. Szkoda jest mi tylko tej ostatniej, gdyby okazało się, że Wiewiórski, wykorzystując zależność od siebie, wciągnął ją w jakieś ciemne interesy — dorzucił porucznik.

— Zbadamy wszystko dokładnie — zapewnił Sójka. — Do współnika od pokątnego handlu dotrzemy również.

Porucznik trzepnął nagle w powietrzu palcami.

— Zdaje mi się, że wiem już dlaczego Wiewiórski zapalił światło w pokoju Borowicza. Jego blask, padający na trawnik, pokrywał gęstszym jeszcze cieniem tę stronę domu, gdzie odbywać się miała tajemnicza transakcja!

Następnym punktem porządku dziennego wizyty milicjantów w „Marioli” była rozmowa z Józefem Szostakiem.

— Pytam pana jeszcze raz, panie Szostak — zaczął sierżant — czy od czasu przyjazdu pogotowia do momentu przybycia milicji nie zdarzyło się w pana pokoju nic szczególnego?

— Nie, cóż mogłoby się zdarzyć. Nic absolutnie — wyrzucił z siebie pytany, jakby chciał jak najszybciej wyczerpać niemiły dla siebie temat. — Nie przypominam sobie nic, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie...

— Panie Szostak — głos sierżanta stał się poważny i surowy. Przypominam panu, że za fałszywe zeznania grozi kara więzienia. Jest to informacja dla pana jako świadka. Z drugiej jednak strony podkreślanie z naciskiem, że przemilczanie jakichś faktów lub składanie zeznań niezgodnych z prawdą łatwo może ze świadka uczynić pana podejrzanym, bo w domu tym popełniono morderstwo, a pan kryje zabójcę lub też sam jest tym zabójcą.

— Ja zabójcą? To śmieszne — rzekł Szostak, ale widać było, że do śmiechu nie był wcale skory. — Do licha, powiem wam! Możecie mi wierzyć, że leżało mi to kamieniem na sercu! Trudno, jeśli będziecie mnie podejrzewać, to wasza sprawa... Więc tego ranka, jak mówiłem, obudził mnie motor samochodu pod moim oknem. Wyjrzałem i zorientowałem się, że przyjechało pogotowie ratunkowe. Nie miałem jeszcze pojęcia, co się stało. Wyglądając trąciłem nagle nogą jakiś twardy przedmiot. Schyliłem się i stwierdziłem, że jest to kawałek łomu żelaznego. W tym momencie dobiegły mnie z korytarza głosy. Z treści urywków zdań wynikało, że zabity został mój kolega, Roman Borowicz. Zmartwiałem. Przez moją głowę zaczęły przebiegać myśli jak błyskawice. Borowicz był aktorem, któremu wszyscy zazdrościli sławy, kariery i popularności. Kto zazdrościł? Przede wszystkim koledzy. Milicja będzie szukała motywów zabójstwa. Ja jestem aktorem z tego samego zespołu co zabity. Mnie, mówiąc szczerze, powiodło się pod względem zawodowym o wiele gorzej niż Borowiczowi. Dalej już zastanawiać się nie miałem czasu. Odruchowo schwyciłem żelazo przez kawałek

jakiegoś -materia! u, żeby nic zostawić odcisków paków i wyrzuciłem przez okno. Działalem wtedy pod wpływem silnej emocji. Rozważając teraz rzecz spokojnie, -zdaję sobie sprawę, że postąpiłem głupio. Na nic jednak innego nie było mnie wówczas stać.

— Czemu pan potem nie przyznał się do wyrzucenia łomu? — spytał porucznik. — Potem, kiedy już pan ochłonął?

— Kiedy popełniłem to głupstwo, znalazłem się w ślepej uliczce. Obecność łomu w moim pokoju mogłem tłumaczyć faktem, że ktoś go tam wrzucił, powiedzmy, gdy byłem wieczorem w łazience. Ale jak wyjaśnić fakt wyrzucenia przeze mnie łomu? Zadręczałem się myślą, że milicja i tak ma mnie za głównego podejrzanego, uważając zawiść i zazdrość za motyw zabójstwa. A mówiąc między nami całkowicie szczerze, czyż rzeczywiście nie zazdrościłem Borowiczowi olśniewającej kariery zawodowej? Oczywiście zazdrościłem, zawiść jednak nie zaślepiła mnie tak, by w mojej głowie zagościł choć cień myśli o zabójstwie. Raczej podziwiałem go. Imponował mi. Ale czy o tym wszystkim musi wiedzieć milicja, skoro znajduje łom żelazny w pokoju pałającego zawiścią kolegi? Wiem, jak można oprzeć oskarżenie na poszlakach, i jak łatwo na ich podstawie skazać niejednego niewinnego.

— Naczytał się pan pewnie książek kryminalnych podczas urlopu — zrobił uwagę sierżant.

— Dopiero później — ciągnął Szostak — im dłużej zastanawiałem się nad moim postępkim, tym bardziej wydawał mi się on idiotyczny. Przecież żelazny łom w moim pokoju wcale nie wskazywał na mnie jako na sprawcę, bo jest rzeczą jasną, że pozbyłbym się go, zabijwszy Borowicza, a nie przynosił ze sobą do pokoju. Ale przyznanie się do wyrzucenia łomu, a w szczególności, zatajenie tego czynu w czasie przesłuchań, nic przemawiało już za moją niewinnością. Dlatego znalazłem się w ślepym zaułku, w sytuacji bez wyjścia. Co teraz ze mną będzie?

— Weźmie pan sobie do serca nauczkę na przyszłość, żeby mówić tylko prawdę. Szczególnie w rozmowach z milicją — podsumował porucznik. — Liczymy również, że po powrocie do Warszawy ukaże się pan na scenie w pełni sił mimo wszystkich przykrych przeżyć...

XIV

Plutonowy Zajączkowski potrafił w tak sugestywny sposób przedstawić sprawę zamurowanego lulu srebrnego porucznikowi Wiktorowi Ziębie, któremu w Komendzie Miejskiej w Zambrowie podlegały sprawy związane z przestępczością gospodarczą, że ten od pierwszej chwili uznał sprawę za wysoce podejrzaną.

— Możliwość, by ten zwój lutu dostał się do betonu przypadkiem — mówił porucznik demonstrując później dowód rzeczowy komendantowi — jest tak nikła, że należy poważnie brać pod uwagę umyślne tam jego wrzucenie, co z kolei musi nasunąć podejrzenie o zamiarze ukrycia jakiegoś przestępstwa. Zastanawiałem się nad różnymi wariantami, jak mógł trafić lut w miejsce, gdzie został znaleziony, jeśli wykluczyć fakt, że go tam świadomie ktoś umieścił, ale żadna wersja nie Wydaje mi się przekonująca. Betonowego muru nie można uznać za miejsce chwilowego ukrycia skradzionego lutu. Złodziej wybrałby miejsce inne, skąd w

stosownej chwili mógłby łatwiej przedmiot wydobyć czy go sprzedać. Rozbijanie muru byłoby przedsięwzięciem zbyt "ryzykownym i mało rozsądnym", a także technicznie trudnym. Nie można przypuszczać, byśmy mieli do czynienia z pozbyciem się lutu jako rzeczy niepotrzebnej. Nikt nie wyrzuca przedmiotu, który wart jest trzy tysiące złotych. Również nie przypada mi do gustu wersja, że wyrzucił to ktoś nie zdający sobie sprawy z wartości lutu. Posiadacz wyrzuciłby go wtedy po prostu na śmietnik, nic szukając tak wymyślnego miejsca. Wracam więc jeszcze raz do tezy, że narzuca się wniosek, zgodnie z którym lut utopiony został w betonie w celu zatarcia śladu jakiegoś przestępstwa.

— Mnie również ten wniosek wydaje się rozsądny — zgodził się major. — Nie mam nic przeciw temu, żebyście zainteresowali się bliżej tą sprawą.

Wkrótce porucznik Wiktor Zięba z lutem w teczce zjawił się w gabinecie swego kolegi, Jaroszyńskiego, który w Komitecie Miejskim PZPR piastował funkcję kierownika wydziału ekonomicznego. Jaroszyński był przy tym z wykształcenia inżynierem metalurgiem, o czym porucznik wiedział.

— Jak myślisz, mój drogi — rzekł Zięba kładąc zwój lulu na biurku — kto w najbliższym rejonie może mieć do czynienia z tym materiałem?

Jaroszyński przeczytał angielski napis i rzekł:

— Nie omylę się chyba, jeśli powiem, że jest to lut srebrny, zwany inaczej srebrnym lutowiem, surowiec importowany w tym wypadku z Anglii. Na pewno mają to w swoim magazynie tutejsze Zakłady Wytwórcze Galanterii Metalowej, a poza tym... żadna inna fabryka nie przechodzi mi na myśl. Może jakiś prywatny warsztat używa lutu srebrnego? Ewentualnie jubiler, ale, o ile wiem, w naszej okolicy jubilera nie ma. W skali przemysłowej może używać lutu do jakiejś produkcji na naszym terenie tylko „Della” w Kotlarach, ale nie bliższego na ten temat nie wiem.

Pierwsze swe kroki skierował porucznik Zięba do Zakładów Wytwórczych Galanterii Metalowej w Zambrowie.

— Mam do was pytanie — rzekł w gabinecie dyrektora. — Czy używacie w produkcji lutu srebrnego?

— Tak, używamy — stwierdził dyrektor. — W zeszłym roku sprowadziliśmy kilkanaście kilogramów z zagranicy, o szczegółach poinformuje pana porucznika kierownik techniczny.

Kierownikowi nie na rękę widocznie była wizyta oficera milicji, bo mimo wylewnej uprzejmości i chęci ukrycia zdenerwowania jego głos brzmiał nieswojo.

— O, tutaj — pokazywał w książce materiałowej — jest wykazane każdorazowe pobranie lutu do produkcji wraz z datą i ilością. Dla przykładu: jedenasty marca - trzysta gramów, osiemnasty — dwieście i tak dalej. Kontrolę zużycia przeprowadzamy bardzo dokładnie, bo zdajemy sobie sprawę, że lut srebrny jest surowcem importowanym, kupowanym za dolary i należy go bardzo oszczędzać.

— Niech pan mi pokaże to, co pozostało w magazynie — poprosił porucznik.

Kiedy znaleźli się w pomieszczeniach magazynowych, kierownik zdjął z półki zwój srebrnego drutu wagi kilku kilogramów i podał go porucznikowi.

— Oto co pozostało. Co do grama zgadza się-zgodnie z remanentem.

— To jest ten drut? — dopytywał się Zięba.— A w innej postaci lutu nie mieliście? O, w takiej, na przykład... — wyjął z teczki zwój blachy i pokazał kierownikowi.

— Nie — odparł tamten — w postaci blachy lutu nie używaliśmy.

Następnym etapem poszukiwań porucznika Zięby były Zakłady „Delta” w oddalonych od Zambrowa o kilkanaście kilometrów Kotlarach. Była to wielka, nowoczesna fabryka o bardzo zróżnicowanym profilu produkcji, mieszcząca się w obszernych oszklonych halach, zbudowanych z prefabrykatów. Czekając na dyrektora naczelnego, który prowadził właśnie ważną naradę, Zięba skracał sobie czas liczeniem telefonów, odbieranych przez sekretarkę, zapewniającą wszystkich rozmówców, że dyrektor wyszedł już do domu.

— Czy używamy w produkcji lulu srebrnego? — powtórzył pytanie dyrektor, kiedy porucznik znalazł się już w jego gabinecie. — Ależ tak, nawet dość dużo, to znaczy ściślej używaliśmy w tym roku, produkując w pierwszym i drugim kwartale około stu tysięcy elementów, nazywanych przez nas Z-231. co oznacza po prostu numer zamówienia, dla podzespołów produkowanych przez Zakłady L-14 w Ełku. Elementy Z-231 były produkowane, a także projektowane przez nas w całości i są całkowicie oryginalnym rozwiązaniem problemu technicznego, jaki postawił przed nimi zamawiający. Szkoda, że nie wrócił jeszcze z urlopu nasz główny inżynier, będący jednocześnie projektantem elementu Z-231, bo on w te wszystkie arkana wprowadziłby pana najlepiej.

— Ile lulu srebrnego zużyliście na te sto tysięcy elementów? — zainteresował się porucznik.

— O ile ja wiem, to chyba tysiąc kilogramów — odparł dyrektor — co do liczb, to najlepiej zorientowany jest nasz główny księgowy Rumiński.

Wezwany do gabinetu księgowy Stefan Rumiński przyjął spokojnie polecenie, by poinformować porucznika dokładnie o gospodarce lutem srebrnym w „Delcie” podczas ostatniego roku. Poprosił porucznika do swego gabinetu i tam pokazał w książce datę 20 "stycznia jako dzień przyjęcia do magazynu lulu srebrnego w ilości 1000 kilogramów, który nadszedł drogą kolejową z Anglii. Następnie Rumiński okazał Ziębic fakturę listu przewozowego opiewającą na 1000 kg lutu srebrnego.

— Teraz niech pan porucznik pozwoli ze mną do magazynu surowców importowanych — rzekł Rumiński i zaprowadził porucznika do pomieszczenia, które otworzył wyjętym z kieszeni kluczem. Leżały tu na półkach płytki, pojemniki i woreczki poukładane starannie. — Zaraz zajrzymy do kartoteki i zobaczymy, jak sprawa wygląda.

— Macie tu osobny magazyn surowców importowanych? — spytał Zięba.

— Tak. Zorganizowaliśmy taki specjalnie na początku tego roku, by łatwiej kontrolować najcenniejsze surowce.

— Pan pełni poza stanowiskiem głównego księgowego również funkcję magazyniera? — zdziwił się porucznik.

— Oczywiście że nie — uśmiechnął się Rumiński — ten magazyn prowadzi pani Władysława Szopska, ale jest ona niezupełnie jeszcze wprowadzona w sprawy magazynowe, więc ja jej trochę pomagam. Pracuje tu dopiero kilka miesięcy, a obecnie wzięła kilkudniowy urlop okolicznościowy. O, proszę — Rumiński pokazał kartę ewidencyjną lutu srebrnego z zaznaczeniem dat pobrania surowca z magazynu: 1 lutego.— 250 kg, 5 marca 300 kg, 10 kwietnia'200 kg, 2 maja — 250 kg. Obecny stan lutu — zero.

— Z tego wynika, że nie macie w magazynie ani kilograma?

— Nie. Produkcja elementu Z-231 skończyła się i cały surowiec, który był przy tym potrzebny, został zużyty.

— A czy mogę przynajmniej dowiedzieć się, jak ten lut wyglądał? — spytał porucznik.

— Były to zwoje blachy długości około dwudziestu centymetrów, grubości około pięciu centymetrów, wagi jednego kilograma.

— Czy był na nich jakiś napis?

— Tak. *Steve Rowling, Liverpool*. Szkoda, że nie wrócił jeszcze z urlopu nasz główny inżynier, bo on dokładnie wtajemniczyłby pana porucznika w techniczna stronę zastosowania tego lutu w produkcji, gdyby pan sobie życzył.

— Na razie to mi wystarczy — podziękował porucznik.

Poza terenem „Deltę” zatrzymał się przy rożnie z kiełbaskami. Zamówił dwie porcje, zjadł szybko, z pobliskiego sklepu zatelefonował do domu z zawiadomieniem, że nie wróci na obiad, a co do kolacji, również nie jest pewien. Dokonawszy tego wsiadł w samochód i jak strzała pomknął do Elku. Po drodze przychodziły mu różne koncepcje na temat drogi, jaką zrobił prawdopodobnie kilogram lutu z magazynu w „Delcie” do betonowego murku pod Zambrowem, mimo tak skrupulatnie prowadzonej sprawozdawczości.

W Zakładach L-14 w Elku porucznik Zięba trafił do dyrektora technicznego.

— Otrzymaliście z „Deltę” dostarczone zgodnie z waszym zamówieniem, wyprodukowane tum -i zaprojektowane sto tysięcy elementów do podzespołów, jakie następnie powstają w waszej fabryce. Czy jest możliwe stwierdzenie, jak zużyto przy ich produkcji lut srebrny, do czego on służył i w jakich ilościach?

Dyrektor myślał chwilę.

— Zaskoczył mnie pan — rzekł. — My nie wnikamy w szczegóły konstrukcyjne elementu, nam wystarczy, że spełnia on określone w zamówieniu funkcje, nawet nie miałem pojęcia, że przy jego produkcji używano lutu srebrnego. Ale, jeżeli panu zależy na tym, dam polecenie w laboratorium i będziemy mieli za chwilę wstępną odpowiedź na pańskie pytanie.

Dyrektor wydał polecenie przez telefon. — Musi minąć pewien czas, zanim dokładnie zbadają cały element, o który panu chodzi, składa się on z wielu dość skomplikowanych

—Kto zatwierdza plany konstrukcyjne produkowanego elementu? — starał się zorientować w sprawie porucznik.

—Różnie — objaśniał dyrektor — czasem Ministerstwo lub Centrala Przemysłowa, bywa że zatwierdzane są przez naczelnego dyrektora zakładów, który bada je pod względem merytorycznym oraz z punktu widzenia wartości w wykonaniu planu finansowego produkcji.

—Was nie interesuje konstrukcja elementu? — wracał do tematu Zięba.

—Tylko funkcja zamówionego elementu w całości konstrukcji podzespołu, za którego budowę my z kolei odpowiadamy, a biurku dyrektora technicznego zadzwonił telefon.

Laboratorium odpowiedziało, że w elemencie Z-231 wcale nie ma lutu srebrnego i materiał ten w ogóle nie był używany do jego produkcji.

Główny księgowy „Delty”, Stefan Rumiński, wrócił z pracy do domu o dwie godziny wcześniej zwykle.

Jeszcze obiadu nie mam — zastrzegła się żona Rumińskiego, Agata, '

Wydawał .się błądzić myślami daleko. — Masę roboty się zważyło — rzekł. — Może będę musiał wyjechać służbowo. Zaraz mam mieć telefon w tej sprawie. .

— Na długo wyjeżdżasz?

—'Nie wiem, to zależy. Rumiński był niezwykle opanowany, nie zdradzał nigdy swoich uczuć, ale od kilku dni jego małżonka zauważyła zmianę w zachowaniu swego męża. Przebijało przez nie jakby zaniepokojenie, ujawniające się choćby w dostrzegalnych odchyleniach od codziennych nawyków. Na przykład wczoraj zamiast czytać wieczorem gazety, kiedy leżał na kanapie, Rumiński blisko godzinę przechadzał się po pokoju.

— Zwariowali z tymi kontrolami — powiedział — dziś znów jakiś porucznik ślęczał mi nad głową w fabryce i przeszkadzał w pracy... Słuchaj, pobiegnij jeszcze na Partyzantów i zorientuj się dyskretnie, czy nie kręciła się tam milicja.

— Przecież już prosiłeś mnie trzy dni temu, żebym odniosła pożyczone przez ciebie książki. Sąsiadka powiedziała, że Kosmała wraca pierwszego września.

— Ach, tak, ale interesuje mnie, czy ten porucznik się o niego dopytywał... Po prostu chcę wiedzieć, czy ktoś z pracowników nie miał zamiaru nam zaszkodzić jakimś donosem. Mam pewne podejrzenia, dzisiaj dobre stanowisko to łakomy kąsek.

— Ty coś przede mną ukrywasz — stwierdziła Rumińska.

— Gadanie! — machnął ręką — Idź już! Wyszła zamyślona.

Księgowy stanął na środku pokoju niezdecydowany, co ma teraz, robić. Wielu wydarzeń nie rozumiał. Pewne fakty, których oczekiwał, nie nastąpiły. Tak czy inaczej, po wizycie porucznika w „Delcie" należało uznać sytuację za alarmującą. Nie wolno było ryzykować. Pozostawało mało czasu.

Chwycił pośpiesznie neseser i zaczął wrzucać do środka przybory do golenia, koszulę, zmianę bielizny, jakieś inne drobiazgi. W szufladzie kuchni znalazł młotek, wziął go do ręki i szybkimi uderzeniami zaczął odbijać próg w drzwiach kuchennych, który tkwił w futrynie mocno wciśnięty. Usunięty próg odsłonił niewielką skrytkę. Rumiński wyjął z niej zawiniętą w papier małą paczkę i schował ją do kieszeni. Potem wbił próg z powrotem. Po krótkim zastanowieniu się wydobył jeszcze z apteczki w łazience butelkę wody utlenionej, którą włożył do neseseru. W tym momencie wróciła jego żona.

— Nic się nie dzieje — oznajmiła — rozmawiałam z dozorczynią niby przypadkiem o tym i owym. Jest zawodową plotkarką i za żadne skarby nie przemilczałaby niczego godnego uwagi jako tematu do snucia fantazji.

— Jadę — rzekł — dostałem właśnie telefon, że muszę zaraz wyjechać. Do widzenia — narzucił płaszcz — spieszę się...

— Nie podoba mi się ten wyjazd.

— Nie rozumiem dlaczego. Do zobaczenia!

Na schodach zatrzymał się na chwilę. Sprawdził, czy ma w kieszeni klucz od piwnicy.

Zszedł na dół, w piwnicy zapalił światło. W kącie jednej z przegród, obok starych opon, leżał żelazny łom. Wylał go szmatą i schował w swoim neseserze.

Na ulicy spojrzął na zegarek. Pozostało jeszcze kilka godzin do z-mroku, ale czekanie było ryzykowne. Koło stacji kolejowej ród gęsty zagajnik. Rumiński ruszył w tym kierunku.

Ukrywszy się w krzakach. Rumiński zdjął płaszcz, marynarkę i krawat. Zawinał kołnierzyk koszuli. Teraz nachylił się do przodu i wydobył z neseseru wodą utlenioną zmoczył sobie włosy. Poczekał kilka minut, potem wytarł głowę ręcznikiem. Wyjął następnie lusterko, przejrzał się w nim. Ze szpakowatego bruneta stał się jasnym blondynem. Odmłodziło go to o kilka lat. Poszukał wśród rzeczy w neseserze maszynki do goleniu. Spoglądając w lusterko, starannie zgolił sobie brwi. Dokonawszy tych zabiegów ubrał się z powrotem i z neseserem w ręku udał się w kierunku ulicy Partyzantów.

Przed jednym z domów zatrzymał się na ułamek chwili, rozejrzał! dyskretnie dokoła i szybkim krokiem wszedł do środka. Bezszelestnie, dzięki glinowym podeszwow, wbiegł po schodach na pierwsze piętro.

Znów rzut oka, moment nadśłuchiwania. Nie było wokół nikogo. Włożył na ręce rękawiczki

Zamek słabej konstrukcji nie stawiał wielkiego oporu. Futryna była stara, zmurszała i żelazna płytką z otworem, w którym tkwił rygiel zamka, dała się wyrwać już przy trzecim mocniejszym wyważeniu żelazną łyżką. Rumiński szybko wszedł do środka, sprawdził, czy na zewnątrz nie ma widocznych śladów włamania, po czym zamknął od środka drzwi na zasuwę.

Znalazłszy się w pokoju zaczął wydobywać z szaf szuflady i ich zawartość rozrzucać po mieszkaniu. Z wieszaków zrzucił palta, garnitury. W kuchni przewrócił pojemniki z solą i cukrem, rozsypując ich zawartość. Wreszcie uznawszy to co zrobił za wystarczające, przystawił krzesło do kuchennego okna i z haka zdjął karnisz na firanki. Zajrzał do środka metalowej rury, najpierw z jednego końca, potem uniósł rurę pod światło, przepatrzył jej wnętrze na wylot i zaklął. Była pusta.

Obrzucił wzrokiem zdewastowane mieszkanie, spojrzął na zegarek. Nie było sensu rozpoczynać poszukiwania innej skrytki na ślepo. Zresztą przedmiot mógł w ogóle być ukryty gdzie indziej. Może właściciel zabrał go ze sobą?

Mieszkanie opuścił szybko i bezszelestnie, tak jak się w nim znalazł, zamknawszy drzwi n kłamkę. Unikając głównej ulicy, przemykał się w stronę szosy bocznymi drogami, przez plac po wypalonym domu i przechodnie podwórko czynszowej kamieniczki.

Znalazłszy się przy szosie, stanął niedaleko niej w zaroślach, z których mógł wybiec szybko na brzeg, gdyby wypatrzył odpowiednią okazję.

Jakaś Nysa z samotnym kierowcą w środku wydała mu się odpowiednia. Wyszedł na pobocze, pomachał ręką. Nysa zatrzymała się.

— Podwiezie mnie pan? Żona zachorowała, tak się spieszę, żeby jej pomóc, nie mam dużo, ale chętnie dam panu pięćset złotych..

XVI

Mimo późnego popołudnia chylące się ku zachodowi słońce grzało jeszcze bardzo mocno. W ogóle pogoda w ostatnich dniach splatała figla resztkę opuszczających wybrzeże wczasowiczów; fala upałów, których tak brak było w lipcu i sierpniu amatorom plaży, wybuchła teraz z całą siłą. Temperatura wody, wahaająca się w lipcu od 14 do 16 stopni, obecnie przekroczyła 20 i szczęściarze, przybyli nad morze dopiero teraz, którzy nie liczyli już na kąpiel, dzięki temu wybrykowi meteorologii mogli jej zażywać dowoli. Dodatkową przyjemność sprawiało im to, że nie było już tłoku na plażach.

Ostatni goście „Marioli” opuszczali właśnie willę. Wiktor Żarnecki zniósł już do hallu swe walizki, po czym udał się na stację, by załatwić wózek dla odtransportowania bagażu do pociągu. Zdążyła się już spakować także Zofia Strzałecka. Józef Szostak zjawił się u niej, aby pomóc przy wynoszeniu waliz z pokoju.

— Przepraszam pana, że to takie ciężkie — usprawiedliwiała się — ale przy tych skokach temperatury doprawdy nie wiadomo, co zabrać ze sobą. Trzeba pakować nieomal wszystko, cały wachlarz rozmaitych kombinacji, nadających się zarówno na upały, jak i na mrozy.

— Wcale nie są takie ciężkie — przez grzeczność zaprzeczył Szostak, ale sapiąc ukradkiem, w duchu myślał co innego.

— Wprawdzie już wcześniej uregulowałam należność, ale chciałam pożegnać się z naszym gospodarzem, panem Wiewiórskim — zwróciła się Strzałecka do Wandy Sosińskiej, która ukazała się w hallu i zabierała do sprzątania. — Czy pan Leon jest u siebie?

Teraz dopiero zauważyła, że Sosińska ma zaczerwienione oczy i mokre policzki.

— Pan Wiewiórski został wezwany na milicję — powiedziała. — Prosił, żeby pożegnać państwa w jego imieniu.

Strzałecka rzuciła Szostakowi porozumiewawcze spojrzenie. Kiedy Sosińska opuściła hall, pani Zofia szepnęła do Szostaka teatralnie:

— Czyżby jednak to był on? Więc niezwykle zachowanie Wiewiórskiego świadczyło o jego nieczystym sumieniu...

Szostak wzruszył ramionami.

— Borowicz musiał mieć coś w pokoju, co tamten wypatrzył przedtem lub o czym dowiedział się. Może jakaś duża suma pieniędzy, jakiś dokument lub wartościowy przedmiot. Przecież znali się od dawna i Borowicz mógł liczyć, że służy mieszkaniemu wybrzeża, posiadający rozgałęzione stosunki wśród ludzi, którzy zajmowali się różnymi interesami, pomoże mu w sprzedaży obcej waluty, ewentualnie biżuterii. A Wiewiórski zapragnął zdobyć coś za nic. Po co zapalał światło w pokoju Borowicza? Sam mi o tym mówił, tłumacząc, że miał zamiar kosić trawnik. A trawnik, panie Józefie, był niedawno skoszony! Wiewiórski po prostu czegoś szukał u Borowicza, znalazł to i następnym krokiem było pozbawienie życia właściciela!

— Może ma pani rację w istocie — przytaknął Szostak — ale tak mało mamy danych, żeby wnioskować o czymkolwiek...

Do hallu wszedł inżynier Kosmala. Ten miał niewielki bagaż, zaledwie małą torbę podróżną.

— Wszystko wskazuje na to, że aresztowano Wiewiórskiego — wprowadziła go w zagadnienie Strzalecka — czy sądzi pan, że on mógłby zrobić coś takiego?

— Coś takiego — rzekł inżynier filozoficznie

— może zrobić każdy z nas. Natura ludzka jest ułomna. Ale co pani miała konkretnie na myśli?

— Zabójstwo Romana Borowicza,

— O, nie! — zaprzeczył Kosmala. — Nie wierzę, żeby on popełnił morderstwo. Nie zmienię mojej koncepcji, która głosi, że zrobił to pospolity opryszek, jakich mnóstwo kręci się w miejscowościach wczasowych. W tłumie wczasowiczów można łatwo ukryć się i jednocześnie znaleźć okazję do popełnienia kradzieży czy rabunku. Tacy chodzą o zmroku wokół pensjonatów, zaglądają przez otwarte przeważnie okna do pustych pokoi, kradną, co się da, i nic zawahają się popełnić również czegoś gorszego.

Strzalecka pomyślała sobie, że była to chyba najdłuższa kwestia, jaką wypowiedział ostatnio Kosmala. Wyglądało na to, że wyjazd wpłynął na poprawę jego samopoczucia.

— Nie bardzo się z panem zgadzam — wtrącił się Szostak. — Opryszek nie mógł zaglądać do pokoju Borowicza, bo ten mieszkał na pierwszym piętrze.

— Ale mógł zostać zaskoczony na myszkowaniu w innym pokoju lub natknął się na niego na korytarzu niosąc skradziony przedmiot — sugerował Kosmala. — Niewykluczone, że chciał uciec przez otwarte okno werandy.

— Cóż by to był za przedmiot — powątpiewał Szostak — i komu właściwie miałby zostać skradziony? O ile wiem, nikomu z nas nic tu nie zginęło.

— Mógł coś ukraść Wiewiórskiemu — obstawał przy swoim Kosmala. — Bywa także, że właściciel nie chce przyznać się do dokonanej u niego kradzieży.

— Zamówiłem wózek ręczny z bagażowym — oznajmił przybyły do hallu Żarnecki. — Weźmie wszystkie nasze walizki.

— Znakomicie! — ucieszyła się Strzalecka. — Zastanawiamy się tu nad różnymi wariantami rozwiązania ponurej zagadki, jaka miała miejsce w „Marioli”. Podobno milicja zatrzymała Wiewiórskiego.

— Nie budził we mnie szczególnego zaufania — wyjął zastanawiając się nad czymś Żarnecki

— Ale coś innego przyszło mi teraz do głowy.

— Niech pan nam powie! — z podnieceniem w głosie prosiła eks-piosenkarka.

— Pan Kosmala spytał mnie niedawno, czy tragiczne wydarzenie, którego byliśmy świadkami, nie mogłoby stanowić dla mnie tematu na książkę. Myślałem o tym później i dotychczas jeszcze nie potrafię zdecydować się, czy nie napisać czegoś takiego, możliwie wiernie przedstawiając obecnych tu gości „Marioli”, oczywiście ofiarę, Wiewiórskiego, Sosińską, nie pomijając tajemniczego X, który pojawił się w Kraje- wie jak złowróbnny meteor i zniknął. Nawet wiem, kogo zrobiłbym zabójcą.

— Kogo? — najbardziej zaintrygowana była tym Strzalecka.

— Panią!

— Mnie? — zdziwiła się. — Dlaczego?

— Bo pani nie ma żadnych widocznych motywów — objaśnił. — W fabule powieściowej ujawnienie sprawcy, który od początku akcji miał motyw, byłoby banalne. Dlatego z miejsca odrzuciłbym kandydaturę pana Szostaka jako zabójcy.

— Dziękuję panu uprzejmie — skrzywił się z sarkazmem Szostak.

— Pan Kosmala także mi nic odpowiada — ciągnął dalej Żarnecki. — Można by doszukać się u niego motywu, aczkolwiek graniczącego z psychicznym odchyleniem od normy. Człowiek pełen kompleksów i oporów wewnętrznych, nieśmiały i małomówny w towarzystwie, trudny w kontaktach z ludźmi, zabija słynnego aktora, który kilkakrotnie żartował z niego publicznie.

— Niech pana licho porwie! — zawołał oburzony Kosmala. — Może już skończy pan ten popis?

— Zaraz — pospieszył literat — muszę wykluczyć także siebie, ponieważ i ja miałem motyw.

— Jaki? Pan? — padły pytania.

— Tak. Napisałem kiedyś sztukę, którą miano wystawić w teatrze, gdzie słynny aktor był głównym gwiazdorem. Miał ją grać, ale z jakichś powodów uznał, że nie da sobie z nią rady i sztukę mi utracił. Odrzucenie jej w jednym teatrze nie mogło utrzymać się w tajemnicy w świecie scenicznym i potem żaden teatr nie chciał przyjąć mego utworu.

— Tak naprawdę było? — spytała Strzalecka. — Borowicz utracił panu .sztukę? Może więc to pan...

— Mówię o fabule, którą ja układam — podjął Żarnecki. — Pani jako jedyna osoba nie posiadająca motywów okazuje się morderczynią. Powodem zabójstwa, ujawnionym dopiero na samym końcu dramatu, była zemsta za uwiedzenie kiedyś przez sławnego aktora pani ulubionej przyjaciółki z ławy szkolnej, która po tym fakcie popełniła samobójstwo.

— Ma pan bujną fantazję — stwierdziła urażona Strzalecka.

Rozmowa urwała się, bo przed wejściem do „Marioli” rozległ się warkot motocykla.

— Dobrze, że państwa jeszcze zastałem — powiedział sierżant Sójka od razu przy wejściu, — Mam pewien interes, a zarazem prośbę do wszystkich obecnych. Możę ktoś z państwa poprosi jeszcze Wandę Sosińską...

Szostak poszedł zawołać pokojówkę, zaś sierżant położył na stole swoją służbową torbę, otworzył ją i wyjął jakieś papiery.

— Może państwo podchodzić będą do mnie kolejno... Poproszę panią Zofię Strzalecką. Czy przypomina pani kogoś osobnik na tym rysunku?

Sierżant odwinął papier. Na białej tekturce widniała wyrysowana ołówkiem twarz mężczyzny. Strzalecka przyglądała się jej dość długo.

— Nie — stwierdziła — nigdy nikogo takiego nie widziałam.

Następnie sierżant poprosił do stołu Szostaka, który właśnie powrócił z Sosińską.

— Nie — zdecydował Szostak po obejrzeniu rysunku. — Nie widziałem tego człowieka, nic przypominam sobie.

Inne było wrażenie, jakie wywarł rysunek na Sosińskiej.

— On wydaje mi się trochę podobny do zarysów twarzy-mężczyzny, którego widziałam w półmroku tamtego wieczora przed „Mariolą”.

Sarneckiemu narysowana twarz nic nie nasuwała.

Wreszcie rzucił na podobiznę okiem Kosmala. Wydawało się, jakby nagle pojawił się w jego oczach strach.

— Nie, nie widziałem go nigdy — rzekł dziwnie matowym głosem.

— To byłoby tyle... —zakończy! sierżant chowając rysunek. — Specjalista z komendy zrobił portret pamięciowy na podstawie zeznań kierowcy PKS, odnośnie tego pasażera, który pytał o Krajewo Morskie, a wysiadł w Wydmach...

XVII

Porucznik Zbigniew Kaczorowski postanowił zanocować w Zambrowie, gdzie nowo otwarty motel „Pod Szczygłem” zyskał już sobie doskonałą renomę.

Dobra sława motelu nie była przesadzona. Czysty, pachnący świeżym drzewem, jaskrawo odcinał się od prymitywu i niedostatków hotelików, które dotąd spotykało się na ogół w małych miastach. Każdy pokój posiadał łazienkę, radio i telefon, stojący na niewielkim estetycznym, drewnianym biurku. Kaczorowski nakręcił numer miejscowej komendy MO i zapytał o porucznika Wiktora Ziębę, Przyjaźnili się w swoim czasie, będąc na tym samym kursie Szkoły Oficerskiej w Szczytnie, a potem służba rzuciła ich w różne zakątki kraju.

Ale porucznika Zięby w komendzie nie było. Wyjechał gdzieś w teren. . Mimo komfortowego noclegu w motelu „Pod Szczygłem” i wybornego śniadania złożonego z jajecznicy na boczku i prawdziwej kawy z mlekiem, Kaczorowski ruszył w drogę w podłym nastroju. Oprócz różnych poszlak i nikłych śladów nie znalazł dotychczas nic, co, jak to się nazywało w roboczym języku, stanowiłoby „wyjścia na sprawcę”, nie licząc oczywiście tropów, zaprowadziły go w fałszywym kierunku, na przykład wersje Pomorskiego i Zawidowskiego, zdawałoby się. mocno podbudowane, należało całkowicie wykluczyć. Pozostawał jeszcze rozpracowany strzępek okładki z „Motoru”, wszystko razem nie napawało porucznika optymizmem.

Był wczesny ranek, kiedy jego Fiat wjechał na główną ulicę Kotlar. Ulica Zwycięzców nie ciągnęła się w nieskończoność, toteż samochód przystanął zaraz przy domu pod numerem dwudziestym pierwszym. Uwaga porucznika tak dalece była na obiekcie, który miał przed sobą, wchodząc do bramy starej, murowanej kamienicy, że nie spostrzegł innego Fiata ze znakami milicyjnymi, zaparkowanego opodal za rogiem.

Tadeusz Stombimierowski był śnieżno siwym staruszkiem o bystrych, żywych oczach. Tyle "I zauważyć Kaczorowski przez uchylone, z zamknięte na łańcuch drzwi, zanim gospodarz dokładnie przestudował milicyjną legitymację wpuścił go do wnętrza mieszkania..

— W związku ze sprawą, jaką prowadzę — rzekł porucznik — chciałbym zadać panu kilka pytań.

— Mnie— wyraził swoje szczere zdumienie emeryt. — Co może mieć do mnie milicja?

Przecież ja od pięciu lat prawie z domu nie wychodzę! Nogę miałem chorą, wie pan, ostatnio na szczęście już czuję się trochę lepiej...

— Zdaje mi się, że jest pan na rencie — przerwał porucznik. — Czy mogę wiedzieć, gdzie pan pracował?

Na miejscowej poczcie. Czterdzieści lat

pracy zawodowej — z dumą powiedział gospodarz.

— Nie podróżował pan ostatnio? Nie odwiedzał pan Krajewa Morskiego?

— A gdzie to jest? — pytał rencista zdziwiony,

— W okolicach Kołobrzegu.

— Przepraszam pana porucznika, że pytam, jak niemądry. Czy nic wszystko jedno, gdzie znajduje się Krajewo Morskie, skoro, jak już powiedziałem, w ciągu ostatnich pięciu lat nie opuszczałem prawic swojego mieszkania, a już w żadnym wypadku Kotlar. Na ulicę, do sklepu, od czasu do czasu zdarzało rai się wychodzić.

— Czytuje pan „Motor“?

W oczach starego pocztowca pojawiły się ogniki zainteresowania.

— O, tak! — zawołał. — Motoryzacja to moje hobby! Nigdy nie udało mi się w mym życiu dojść do posiadania samochodu, więc postanowiłem zrekompensować sobie to gromadzeniem wszelkich wiadomości dotyczących samochodów, właściwości różnych marek aut i sposobów ich eksploatacji. Nic uwierzy pan, aleja wiem dokładnie jak często należy smarować przód Alfa Romeo, ile oleju zawiera miska olejowa Opla Kadeta oraz jaka przerwa na zaworach ssących i wydechowych powinna być w Volkswagencie Golfie.

— Zainteresowanie światem jest cenne, nawet kiedy nie wszystkie gromadzone informacje mogą nam się w życiu przydać — zakonkludował porucznik. — A czy ten „Motor“ kupuje pan po prostu w kiosku? z

— Skąd! — zaprzeczył. emeryt, uśmiechem politowania kwitując niewiedzę swego gościa w kwestii zaopatrywania się w atrakcyjne tygodniki — Mój znajomy właściciel kiosku odkłada mi „Motor“ specjalnie na moje nazwisko! Tygodnik jest tak poszukiwany, że w normalnej sprzedaży nie zobaczy pan ani jednego egzemplarza, czasem tylko uchwytny bywa przez pięć minut...

— Co pan robi z przeczytanymi pismami? — "Nie zbieram, nie kolekcjonuję. Mam i tak dość dużo książek, szczególnie o samochodach, które zabierają sporo miejsca w moim małym mieszkaniu. Przeczytane pisma, z okresu powiedzmy tygodnia, wynoszę z domu i kładę obok pojemników na śmieci, stojących koło wejścia do piwnicy.

— Mieszka pan tutaj długo? — kontynuował porucznik.

— W tym domu? Dwadzieścia pięć lat.

— Co pan może powiedzieć o lokatorach tego domu?

— Nic szczególnego. Większość z nich mieszka tu też sporo czasu, poza krawcem, który objął niedawno mieszkanie po swym zmarłym stryju. Jest dwóch urzędników, listonosz z naszej poczty, w sumie niedużo, może trzydziestu mieszkańców. Z nikim bliskich kontaktów nic utrzymuję. Kłaniamy się sobie, to wszystko.

— Dziękuję panu za te informacje.

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jaką to sprawę pan bada, panie porucznika? — prosił gospodarz. — Siedzę taki samotny, nudą wieje z każdego kąta, aż tu nagle pan składa mi wizytę.

— A, wcale nie jakaś pasjonująca sprawa — machnął ręką porucznik. — Pewien mężczyzna, zmarł w okolicznościach, które wymagają bliższego wyjaśnienia...

— Hm! Taka historia — mruknął emeryt mocno rozczarowany podobnie nieprecyzyjnym i ogólnikowym omówieniem.

Po opuszczeniu mieszkania Stombtmierowskiego porucznik Kaczorowski udał się do administratora domu i wynotował wszystkie nazwiska z listy lokatorów. Było ich dwadzieścia osiem. Sprawdzić wyjazdy tych ludzi w ostatnim czasie, możliwość powiązania z kinu mieszkającym w Krajewie Morskim, z letnikami wypoczywającymi w „Marioli”, oto zadanie na najbliższą przyszłość.

Ktoś z tych lokatorów jednego z wczasowiczów „Marioli” mógł znać na pewno.

Inżynier Kosmala był mieszkańcem Kotlar.

„Ciekawe, czy już wrócił do domu z Krajewa” — pomyślał Kaczorowski. „Warto byłoby napisać go, czy zna kogoś z tego domu”...

Wychodząc już, zatrzymał się na moment przed jakimiś drzwiami, skąd dobiegł go płacz kobiety. Nagle drzwi otworzyły się i zdumionym oczom Kaczorowskiego ukazał się porucznik Wiktor Zięba, do którego usiłował dodzwonić się w Zambrowie.

Po uściskach powitalnych pierwszy spróbował zaspokoić swoją ciekawość Kaczorowski.

— Co ty tu robisz? Czemu doprowadzasz do płaczu jakieś kobiety?

Wyszli z budynku i zatrzymali się na chwilę na ulicy.

— Nic ja ją doprowadziłem do płaczu, tylko jej własny mąż, który zdążył zbiec i jest poszukiwany przez nas jako podejrzany o popełnienie poważnego przestępstwa gospodarczego. A ciebie tu co sprowadza?

— Strzępek okładki z pisma „Motor” przetransportowany stąd w niewiadomy sposób do Krajewa Morskiego, na miejsce zabójstwa, jakie wydarzyło się w pensjonacie „Mariola”

— W pensjonacie „Mariola” — powiadasz? — Zięba ożywił się wyraźnie. — Przecież tam właśnie mieszkał Jan Kosmala, naczelnny inżynier „Delty”! W nocy ustaliliśmy, że wyjechał wieczornym pociągiem do Kotlar i przybędzie tutaj rano. Moi ludzie czekają już na niego na stacji!

— Czego od niego chcecie?

— Wyjaśnić w sprawie poważnej afery gospodarczej, w której grał niemałą rolę. Drugi główny bohater mieszkał właśnie tu, ale zbiegł wczoraj po południu. Księgowy z „Delty”, Stefan Rumiński. To płacz

jego żony słyszałeś za tamtymi drzwiami. Agata Rumińska nie chce jednak powiedzieć lub nie wie, gdzie udał się jej małżonek, o którym informacje otrzymały już wszystkie nasze jednostki w całym kraju.

Dla porucznika Kaczorowskiego sprawa wchodziła na nowy tor.

„Delta”? Księgowy Rumiński? — przebiegały mu przez głowę nie sprecyzowane jeszcze myśli. — Czy może mieć to jakiś związek ze śmiercią słynnego aktora? Skojarzenia faktów wydają się bardzo odległe. A jednak może ślad prowadzi właśnie do „Delty”?

XVIII

Kaczorowski i Zięba zdążyli w skrócie zrelacjonować sobie wyniki prowadzonych właśnie spraw, zastanawiając się nad możliwością istnienia ewentualnego powiązania między dokonanymi przestępstwami, gdy z radiotelefonu samochodu Zięby rozległ się głos:

— Ewa wzywa 07! 07 zgłoś się!

Komenda MO w Zambrowie zawiadamiała, że Jan Kosmala został zatrzymany na dworcu w Kotlarach i przewieziony już do Zambrowa.

Kaczorowski ruszył swoim wozem za autem Zięby. Chciał być koniecznie obecny przy przesłuchaniu Kosmali.

Naczelnny inżynier „Delty”, był zupełnie wytrącony z równowagi, kiedy milicja niespodziewanie zatrzymała go na dworcu. Zdziwił się też spostrzegając tu Kaczorowskiego obok jakiegoś nie znanego mu oficera.

— Panowie, przecież ja już wszystko powiedziałem, co wiem, nie przemilczałem najdrobniejszego szczegółu istotnego dla śledztwa...

— Nie powiedział pan dotąd ani jednego słowa o sprawie, która mnie interesuje — przerwał mu Zięba.

— Jaka to jest sprawa?

— Sprawa lutu srebrnego — rzucił krótko — Lutu, którego nie było. Nie mogło ujść uwagi obecnych, że opalona Kosmali stała się nagle kredowo biała.

— Wiedziałem, że się wyda... — wyjąkał. — Nie chciałem tego robić, wierzcie mi, to on mnie namówił — Pochylił się, ukrywając twarz w dłoniach.

— Panie Kosmala — rzekł Zięba — pańską skruczę oczywiście sąd weźmie pod uwagę. Ale najistotniejszym warunkiem złagodzenia kary jest szczere przyznanie się do wszystkiego i poinformowanie nas o szczegółach całej sprawy.

— Dobrze, powiem wam wszystko — zgodził się z determinacją. — Naprawdę wszystko, chwilę jakby zastanawiał się, czy też zbierał wreszcie zaczął.

Ten pomysł podsunął mi Rumiński na i zeszłego roku, po powrocie z Anglii, gdzie na urlopie u rodziny. Zawarł tam znajomość z handlowcem, nazwiskiem Steve Rowling, który zgodził się na udział w aferze, wymyślonej przez Rumińskiego, ewentualnie jej pomysł sam mu podrzucił. Tego szczegółu nie znam. Wy- sunięta przez Rumińskiego po powrocie z za granicy propozycja polegała na tym, żeby do projektu zamó- wionego właśnie przez Zakłady L-14 w Elku w wielu egzemplarzach elementu Z-231, wprowadzić zbędny materiał, który potem w fazie produkcyjnej miał zostać pominięty. Konkretnie, należało element Z-231 za- projektować tak, by na jednej ze ścianek wewnętrznych, na której umieszczone były zamocowania drobnych części składowych, znalazła się blaszka z lutu srebrnego, mająca rzekomo wpłynąć na pewniejszą, bezuster- kową pracę całości oraz gwarantować większą trwałość urządzenia. Cytuję tu tylko fragmenty z obszernego uzasadnienia, które opracowałem polem, celem uzyskania zgody ministerstwa na import srebrnego lutu. Uza- sadnienie było przekonujące, ale na fałszerstwie, które ono zawierało, mógłby poznać się wyjątkowej klasy specjalista, dobrze wprowadzony w poruszane zagadnienie.

Kosmala przerwał na moment, westchnął, poprosił o wodę, napił się kilka łyków, po czym ciągnąc da- lej złamanym głosem: — Jak wynika z moich ostatnich zdań na temat sporządzonego przeze mnie uzasad- nienia zastosowania w projekcie blaszki z lulu srebrnego, propozycję Rumińskiego po długich wahaniach niestety przyjąłem. Przedtem wielokrotnie odmawiałem udziału w aferze, wysuwałem zastrzeżenia dotyczą- ce małych szans jej powodzenia, ale Rumiński usypiał wszelkie moje obawy, za to wabił wielkimi zyskami, nęcił zagranicznymi podróżami i pozbyciem się do końca życia wszelkich kłopotów materialnych. Szczegó- ły techniczne przedsięwzięcia wyglądały następująco: należało sporządzić projekt elementu Z-231 z ową płytką srebrnego lutu jako częścią składową, uzyskać zatwierdzenie projektu przez dyrektora naczelnego, uzyskać zgodę ministerstwa na import surowca przedstawiając szczegółowe uzasadnienie, otrzymać akcep- tację zlecniodawcy, wydaną na podstawie próby z urządzeniem prototypowym. Naczelnny dyrektor podpisał bez wnikania w szczegóły, zgodę ministerstwa otrzymaliśmy, zlecniodawca akceptował prototyp, który spełnił swoje funkcje, co oczywiście miałoby również miejsce bez wprowadzania do elementu lutu srebrne- go. Nie był on potrzebny, ale i nie przeszkadzał. Mocną stroną afery była jej niesłychana bezczelność. Ni- komu nic przyszło do głowy, również naszemu dyrektorowi, że ktoś wprowadzi do projektu surowice, któ- rego potem wcale nie użyje. Nawet ów prototypowy element nie zawierał żadnego lulu srebrnego, ponieważ wiedzieliśmy, że nikt się jego obecnością nie będzie interesował, skupując uwagę na funkcjonowaniu cało- ści. Sporządziłem dwa warianty rysunków, jeden do zatwierdzenia i uzyskania zezwolenia na import lutu, drugi przeznaczony do rzeczywistej produkcji. Przeprowadzenie sprawy przez dokumentację księgową zała- twiał Rumiński, przeprowadzenie zaś przez kartoteki magazynowe umożliwione zostało dzięki za protego- waniu przez niego na wolne miejsce kierownika magazynu surowców importowanych jego przyjaciółki, Władysławy Szopskiej, która kiedyś uczęszczała jeden rok do liceum ekonomicznego. Pod pretekstem wprowadzania swej protegowanej w arkana nowej pracy Rumiński załatwił cyfrowe odzwierciedlenie prze- pływu lutu srebrnego przez magazyn bez wiedzy Szopskiej.

— Przyjeliśmy, że na sto tysięcy produkowanych elementów — kontynuował Kosmala — w cudzy- słowie „zujemy” tysiąc kilo ltu. Zgodnie z umową z panem Rowlingiem miał on przesłać nam pocztą jeden kilogram ltu srebrnego, co też uczynił. Nadszedł on w drugiej połowie stycznia. Rumiński własno- ręcznie sfalszował list przewozowy, przerabiając jeden kilogram na tysiąc kilogramów, które miały wykazać stan liczbowy magazynu Rachunek za tysiąc kilogramów ltu pochodził oczywiście od Rowlinga i był ory- ginalny. W trakcie produkcji Rumiński skreślał ze stanu magazynu partie ltu, proporcjonalnie do odbywa- jącej się jednocześnie produkcji elementu. Przed końcem drugiego kwartału produkcja cementu została ukończona i wszystkie lut został ze stanu magazynu rozchodowany. Jeszcze jedno: Rumiński fałszował rów- nież na kartach roboczych, wyliczających zużyty materiał, podpisy mistrzów zmianowych. Gdyby nawet ktoś te karty sprawdzał, nie przesłuchiwałby pewnie osobiście zainteresowanych. Po skreśleniu z ewidencji magazynowej całego ltu nie bardzo wiedzieliśmy, co zrobić z owym jednym kilogramem. Rumiński wspominał, że można by sprzedać jubilerowi, aleja temu sprzeciwiłem się kategorycznie. Byłcm zdania, że

lut musi zniknąć raz na zawsze z ludzkich oczu. Miałem go przez pewien czas w samochodzie, aż kiedyś nadarzyła się okazja: korzystając z obiadu pracujących przy urządzeniu wodno-melioracyjnym robotników, udało mi się niespostrzeżenie włożyć lut do betonowanego właśnie murka obok szosy. Jeśli panowie zechcą go rozbić, znajdą w środku lut z pewnością we wskazanym przeze mnie miejscu.

— Wyreńczył nas już w tym kierowca Stara, który wpadł na murek i zburzył skrytkę srebrnego lutu — pospieszył z wyjaśnieniem porucznik.

Inżynier Kosmala zadumał się przez krótką chwilę nad wpływem przypadku na ludzki los.

— Jaka była wasza kalkulacja finansowa? — spytał Zięba. — Ile zarobiliście na dokonaniu nadużycia?

— Wyglądało to tak — wyliczał Kosmala: — Rowling wystawił rachunek za tysiąc kilogramów lutu srebrnego po dwadzieścia cztery dolary za kilogram, co czyniło razem dwadzieścia cztery tysiące dolarów amerykańskich. Z tego Rowling brał dla siebie jedną trzecią, dla nas przypadało dwie trzecie. Bawiąc w Polsce wręczył nam zaliczki po trzy tysiące dolarów, resztę mieliśmy otrzymać za granicą. Całością sumy tam pozostałej mógł dysponować każdy z nas, ponieważ nie wiedzieliśmy, kto pierwszy pojedzie. Przewidywaliśmy też, że ktoś z nas może nie otrzymać zgody na paszport.

— Z uwagi na pilność i dużą wagę tej sprawy — rzekł porucznik Zięba — nie mieliśmy jeszcze okazji powiadomić pana, że na krótko przed pańskim powrotem dokonano włamania do mieszkania, które zajmuje pan w Kotlarach przy ulicy Partyzantów. Czy miał pan, poza zwykle znajdującymi się w domu rzeczami, coś szczególnie cennego?

— Tak, miałem — przyznał Kosmala — ale wyjeżdżając zabrałem ze sobą. Trafi to zresztą obecnie i tak w wasze ręce.

To mówiąc, wydobył z torby etui do przyborów toaletowych, otworzył wyjęte ze środka pudełko na mydło i na stół wysypały się dolarowe banknoty.

— Trzy tysiące — rzekł — cała suma, jaką dostałem.

— Co było dalej? — indagował porucznik Zięba. — Kiedy zamierzaliście podjąć resztę należności?

— W najbliższym czasie, ale o konkretnych datach się nie mówiło — stwierdził przesłuchiwany. — Rumiński całą swą energię skierował na przekonanie mnie, że aferę należy powtórzyć w jakimś nowym, korzystniejszym jeszcze dla nas wariantcie. Przeciwwstawiłem się temu z całą stanowczością. Powiedziałem mu, że żałuję mego udziału w sprawie z lutem. Nic wierzyłem, że sprawa się nie wyda. Wspominałem nawet, że gdyby jakaś amnestia otworzyła nam furtkę, lepiej byłoby przyznać się do wszystkiego. Rumiński wściekał się, nazywał mnie tchórzem. Miał w projekcie „skok”, jak on to nazywał, na sto albo więcej tysięcy dolarów. Z taką sumą można by założyć jakąś fabryczkę na Zachodzie. Odmówiłem bezwzględnie. Tłumaczyłem, że podobna afery może udać się najwyżej raz i to nie na pewno. Ostatnią rozmowę przeprowadziliśmy na krótko przed moim wyjazdem na urlop. Miała przebieg identyczny, jak poprzednia.

Protokolant kończył przepisywanie zeznań. Jan Kosmala złożył swój podpis i spytał:

— Na ile panowie to oceniają? Ile lat, oczywiście?

— Ocena należy nie do nas — zapewnił go Zięba. — Jest to już sprawa sądu.

— Panie Kosmala - wtrącił się nagle porucznik Kaczorowski — byłem świadkiem, jak pan, swymi szczerymi zeznaniami, służył pomocą moim kolegom w rozwikłaniu sprawy srebrnego lutu. Ja ciągle jeszcze muszę myśleć o śmierci Borowicza i dlatego zadam panu kilka pytań na ten temat.

— Proszę, odpowiem — ofiarował się Kosmala.

— Pan mówił, że Borowicz robił panu kawały. Na czym one na przykład polegały?

— Raz pomalował mi nos, kiedy spałem na leżaku koło „Marioli”, pyłkiem kwiatowym smolinosa. Po-tem całe towarzystwo śmiało się, a ja nie wiedziałem, o co chodzi.

— Mówił pan również, że pana przedrzeźniał?

— Tak. udawał mój chód albo sposób, w jaki jem gruszkę. A parę razy zrobił mi inny kawał; ~ ukryty w ciemnościach hallu, udając mój głos, wołał do panny Wandy Sosińskiej, żeby ta przyniosła mi do pokoju herbatę, tymczasem ja wprost nie znoszę herbaty.

— Sosińska zamówioną herbatę przyniosła?

— Tak, bo Borowicz potrafił imitować mój głos, zresztą dość charakterystyczny, tak doskonale, że nikt nie miał wątpliwości, wszyscy myśleli, że to ja mówię.

Teraz również porucznikowi Kaczorowskiemu wydało się, że pozbył się resztek wątpliwości.

W tym momencie wszedł do pokoju kapral, który nachylając się nad stołem, szeptem złożył meldunek porucznikowi Ziębie. W porcie szczecińskim ujęty został Stefan Rumiński w momencie, kiedy nielegalnie usiłował dostać się na cudzoziemski statek.

— Może będę miał do pana małą prośbę — zwrócił się porucznik Kaczorowski do Kosmali.

XIX

Dowody przeciw Stefanowi Rumińskiemu w aferze srebrnego lutu były tak niepodważalne, że porucz-nikowi Ziębie nie pozostało już wiele do

roboty. Cały ciężar zmagania z podejrzanym spoczął teraz na barkach Kaczorowskiego.

Do Zambrowa sprowadzono Wandę Sosińską oraz kierowcę PKS. Po dokonaniu przez milicję zabiegu dorysowania brwi i przemalowania włosów na jego własny kolor oboje poznali Rumińskiego w grupie innych mężczyzn jako osobnika widzianego na wybrzeżu przed dokonaniem zabójstwem. O ile Sosińska określiła go jako „bardzo przypominającego mężczyznę, którego widziała przed pensjonatem”, to kierowca PKS z całą stanowczością stwierdził jego tożsamość z osobnikiem, który pytał o Krajcwó Morskie, a wysiadł z autobusu w Wydmach.

Przesłuchano mieszkańców domu, w którym mieszkał Rumiński. Jeden z nich rozpoznał żelazny łom. Twierdził, że leżał on od lat w korytarzu prowadzącym do piwnicy domu przy ulicy Zwycięzców.

Przesłuchiwany Stefan Rumiński nie okazywał pokory. Niewiele by mu już ona pomogła. Miał zacięty wyraz twarzy i złe błyski w oczach.

— Nie będziemy mówili na razie o lucie srebrnym — oświadczył porucznik Kaczorowski. — Zajmiemy się morderstwem, którego pan dokonał.

— Nie. Nieprawda. Nic dokonałem żadnego morderstwa.

— Co pan robił w dniu dwudziestego czwartego sierpnia wieczorem?

— Cały dzień pracowałem w domu. Miałem , zaległości, które musiałem wykończyć. Po południu telefonowałem do sekretarki naczelnego, prosząc o dane, dotyczące funduszu inwestycyjnego za poprzedni rok.

— Tak, ale gdy sekretarka zapytała pana, czy chodzi o sumę ogólną, czy o pozycje odpowiadające kolejnym miesiącom, nic pan już nie odpowiedział. Nagrał pan swój głos na magnetofon, prawda? — indagował Kaczorowski. — Prosił pan Szopską, żeby odtworzyła taśmę przez telefon, nakręcając numer sekretarki naczelnego? Rumiński nic nie odpowiedział. - Mamy tu natomiast zeznania bufetowej ze stacji Kotlary, która widziała pana wśród podróżnych, odjeżdżających tego ranka w kierunku wybrzeża — ciągnął porucznik. - Twierdzi, że może nic pamiętałaby o tym fakcie, ale zna pana z. widzenia i zwróciła uwagę na fakt, że no raz pierwszy wystąpił pan w okularach. Ma pan upodobania do charakteryzacji. Dotarłszy na wybrzeże, przesiadł się pan na PKS Kierowca twierdzi, że poznaje pana z pewnością. Aby nikt nie zobaczył pana na przystanku w Krajewie, wysiadł pan wcześniej, w Wydmach.

— Zdaje mu się — trwał przy swoim Rumiński. — Ta historia z okularami też jest bzdurą.

— Nie — zaprzeczył porucznik. — Pokojówka z pensjonatu również widziała pana przed domem w okularach.

Przesłuchiwany wzruszył ramionami.

— Niech pan będzie rozsądny, panie Rumiński. Nie ma sensu dłużej zaprzeczać. Wahał się pan początkowo, prawda? Potem, kiedy Kosmala zatelefonował do „Delt” i zdecydował się pozostać jeszcze dzień dni. nagle doszedł pan do przekonania, że trzeba sprawę załatwić radykalnie. Przeszkadzał panu, co? Bał się pan. że może nie utrzymać tajemnicy? Chciał pan wciągnąć do interesu jego następcę? Na jego dolary również miał pan apetyt.?

Rumiński nie odpowiadał.

Porucznik dał znak wzrokiem siedzącemu przy drzwiach milicjantowi. Ten wstał i uchylił drzwi.

Do pokoju wszedł Kosmala, blady, pochylony, z bandażem na głowie. Zbliżył się do Rumińskiego i powiedział cicho: . — Chciałeś mnie zabić, Stefan...

Wrażenie, jakie zrobiło to na Rumińskim, podobne było do działania pioruna. Zbladł, oczy rozszerzyły mu się i cały zaczął trząść się jak w febrze.

— Nie chciałem, Janek, coś mi strzeliło do głowy... To ze strachu chyba... Ale cieszę się, że żyjesz... Więc nie zabiłem cię! Umyślnie nie uderzyłem zbyt mocno...

— Nieprawda — przerwał mu ostro porucznik. — Uderzył pan bardzo mocno, z całej siły. I zabił pan. Nie Kosmalę oczywiście, ale aktora, Romana Borowicza.

Rumiński jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy.

— Jakiego Borowicza? Nie znam. To był Kosmala, Słyszałem wyraźnie jego głos, kiedy wołał coś do jakiejś Wandeczki...

Kaczorowski skinął głową w kierunku Kosmali. Ten wyszedł nie patrząc więcej na swego byłego wspólnika.

— Szukał pan dolarów w mieszkaniu Kosmali? Tamten kiwnął głową.

— Ale początkowo miał pan inny plan?

— Byłem zaniepokojony, że nic nadchodzi wiadomość o śmierci Kosmali. Nie wiedziałem, co o tym sądzić, myślałem, że to milicja z jakichś powodów zataja ten laki. Sądziłem, że po stwierdzeniu śmierci Kosmali będę mógł oficjalnie dostać się do jego mieszkania pod pretekstem poszukiwania dokumentów, związanych z jego pracą w zakładach i wtedy znajdę dolary. Podpatrzyłem Kosmalę, gdzie je chował. Kiedy zjawił się w „Delcie” milicjant i zaczął pytać o lut srebrny, zrozumiałem, że nieuchronny koniec jest już tylko kwestią godzin... Przegrałem na wszystkich frontach... i ' To była prawda. A jednocześnie koniec sprawy, której jeden ze śladów zaprowadził porucznika Kaczorowskiego od zamordowanego aktora do „Delt” i afery ze srebrnym lutem.

XX

Pierwsze dni września w Kołobrzegu były tak samo gorące, jak koniec ubiegłego miesiąca. Porucznik Zbigniew Kaczorowski włączył właśnie wentylator i nastawił maszynkę z kawą, która stawiała go na nogi podczas upałów, gdy do jego gabinetu zapukał sierżant Edward Sójka.

— Dobrze, że pan wpadł, sierżancie - powiedział porucznik — właśnie wybierałem się do pana specjalnie, żeby podziękować za owocny udział w śledztwie. Proszę, na razie skromna nagroda w postaci filiżanki kawy...

— Słyszałem właśnie, że już go macie — rzekł sierżant.

Porucznik opowiedział mu o przebiegu wydarzeń.

— Proszę, jak wypadek drogowy doprowadzić może do aresztowania zabójcy słynnego aktora — j po kiwał głową Sójka.

— Przez skromność nie powiedział pan o tym kawałku oddartego papieru z tytułowej strony pewnego tygodnika. Dzięki niemu, nie czekając na rozbicie betonowego murku przez samochód Star, znaleźliśmy się już w domu, gdzie mieszkał zabójca. Stamtąd mieliśmy do niego tylko krok. Rumiński, znalazłszy w piwnicy łom, który wydał mu się odpowiednim narzędziem do dokonania zbrodniczego czynu, owinął go w pierwszy lepszy papier, jaki wpadł mu pod rękę. Tym papierem okazała się okładka „Molom” wyrzuconego

przez Stombimierowskiego. W krzakach, szykując się do wykonania swego planu, odwinął łom i papier schował do kieszeni, ale jego skrawek oderwał się prawdopodobnie podczas tych czynności.

— Dlaczego wrzucił potem łom do pokoju Szostaka? — zastanawia! się Sójka.

— Wpadł mu ten pomysł na miejscu zbrodni.

Uważał, że może uda mu się w ten sposób skierować śledztwo na fałszywy tor. Uratować go miało alibi nieświadomie spreparowane mu przez Szopską. Podczas przesłuchań przyznała się ona' do nadania przez telefon przygotowanej przez Rumińskiego taśmy. Intencją tego czynu miał być rzekomo kawał zrobiony w ten sposób sekretarce: jakoby w momencie telefonu księgowy miał znajdować się w jej pokoju.

— Zastanawiam się, czy bez wykrycia powiązań między Kosmala i Rumińskim główny księgowy tak szybko znalazłby się w kręgu podejrzanych — snuł domysły sierżant

— Może nie nastąpiłoby to od razu — odparł porucznik — ale z kolei kto wic, czy przy okazji badania sprawy morderstwa nic wyszłaby na jaw afera gospodarza

— Wyobrażam sobie, co się dzieje teraz w „Delcie” Nie chciałbym być w skórze dyrektora naczelnego

— Podobno ma odpowiadać karnie za brak nadzoru

— Aha! — przypomniał sobie sierżant Sójka — wdrożyliśmy już postępowanie przeciw Wiewiórskiemu za pośredniczenie w transakcji kradzionymi konserwami, zakupionymi od pewnego konwojenta. Niestety wciągnął w to również. Sosińską. Zastanawiam się, po co mu to było? Czy nic zarabiał wystarczająco na turystach, zatrzymujących się w „Marioli”?

— Są ludzie, którzy nigdy nie mają dość pieniędzy. Każdy sposób ich zdobycia jest dla nich dobry.

— Kosmalę i Rumińskiego też można do takich zaliczyć — zauważył Sójka. — Ale jest przecież jeszcze jeden znak zapytania: co się stało z sumą stu tysięcy, które podjął Borowicz przed wyjazdem nad morze?

— Telefonował do mnie właśnie w tej sprawie jego ojciec — wyjaśnił porucznik. — Dopiero ostatnio dowiedział się, że Roman Borowicz zakupił za dziewięćdziesiąt tysięcy marmurową płytę na grób swojej matki.

W chwili, gdy Kaczorowski ścisnął na pożegnanie dłoń sierżanta, drzwi do pokoju uchyliła sekretarka.

— Jakaś pani przyszła do porucznika Kaczorowskiego. Mówi, że nazywa się Hanka Kryńska.

Porucznik spojrzął na zegarek, po czym sięgnął po torbę plażową.

